GONIEC OBOZOWY
Pismo żołnierzy internowanych

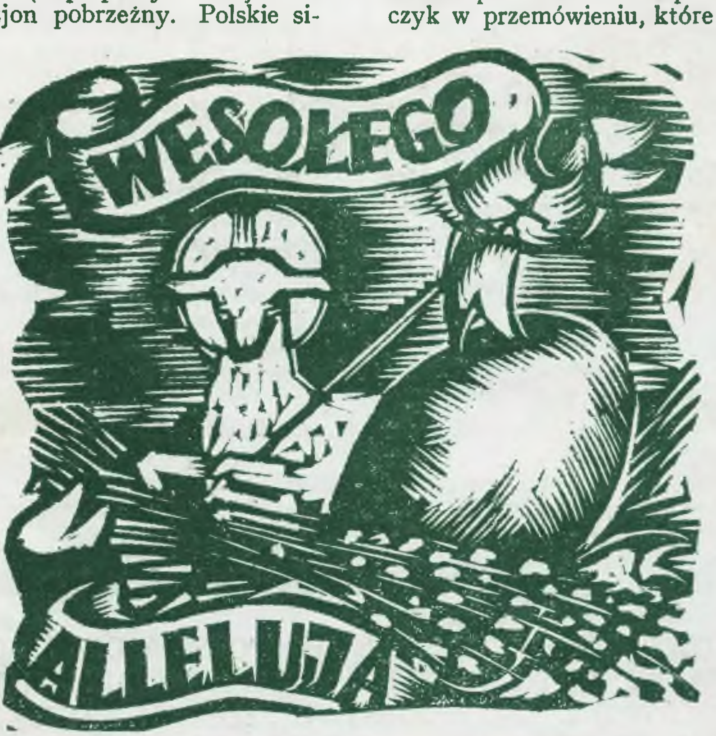
ROK V | W OBOZIE, DNIA 1 KWIETNIA 1944 R. | NR 7 (87)

POLSKIE SIŁY ZBROJNE

Dzienniki szwajcarskie podały ostatnio na podstawie doniesień z Londynu następujące dane o polskich siłach zbrojnych:

Wojsko polskie jest obecnie podzielone na trzy części: pierwsza znajduje się w Wielkiej Brytanii i obejmuje: dywizję pancerną, dywizję piechoty, (które łącznie stanowią I. Korpus) oraz lotnictwo i marynarkę wojenną. Lotnictwo dzieli się na 7 dywizjonów myśliwstwa dziennego, jeden — myśliwstwa nocnego, trzy dywizjony bombowe, dywizjon lotnictwa towarzyszącego (współpracy z wojskami naziemnymi) oraz dywizjon pobrzeżny. Polskie siły powietrzne obejmują 12.000 ludzi i są liczniejsze od połączonego lotnictwa Francji, Belgii, Czech, Holandii i Norwegii, zajmując co do liczebności trzecie miejsce wśród lotnictw sprzymierzonych, mających swe bazy w W. Brytanii. Polska marynarka wojenna składa się z krążownika, 7 kontr-torpedowców, trzech kanonierek i innych jednostek.

Część drugą stanowi wojsko znajdujące się na Średnim Wschodzie i we Włoszech. Jest to tzw. »Armia Polska Wschód«, dowodzona przez gen. Andersa i obejmująca 80.000 żołnierzy. Stanowią ją: brygada czołgów, kilka dywizji piechoty, w czym jedna zmotoryzowana, oddziały służb itd. Drugi Korpus, który wszedł ostatnio do działań we Włoszech, jest częścią składową tej armii. Jest on tam wspomagany przez własne lotnictwo polskie. Jak wynika z ostatnich doniesień II Korpus polski nie tylko wchodzi w skład 8. armii, lecz także bierze udział w uporczywych bojach o Cassino na odcinku 5. armii. Dzielność swą żołnierze polscy okupili już stratami; pierwszy poległ strzelec 20-letni, drugi --- porucznik z Krakowa, trzeci --- góral, bohater walk pod Gazalą. Ostatnio zginął śmiercią bohaterską rotmistrz Stanisław Wołoszowski, zastępca dowódcy polskich »Commandos«. Działaniami II Korpusu dowodzi osobiście gen. Anders. Niedawno odwiedził go w jego kwaterze głównej przywódca Francji Walczącej gen. de Gaulle. Świeżo przybył tam na inspekcję Naczelny Wódz gen. Sosnkowski wraz z szefem sztabu gen. Kopańskim.



Trzecią i największą część polskich sił zbrojnych stanowi wojsko podziemne w Kraju. Organizację tego wojska i jego działalność przedstawił niedawno polski minister spraw wewnętrznych Banaczyk w przemówieniu, które powtórzyło wiele dzienników szwajcarskich. Początki ruchu podziemnego --- oświadczył on --- sięgają czasu obrony Warszawy, kiedy to przywódcy czterech stronnictw, Niedziałkowski (PPS), Rataj (Stronnictwo Ludowe), Dębski (Stronnictwo Narodowe) i Kwieciński (Partia Pracy) postanowili zorganizować tajny ruch zbrojny celem dalszego prowadzenia walki z nieprzyjacielem i stanęli na czele utworzonej w tym celu organizacji. Wszyscy oni okupili pracę swą życiem, na ich miejsce jednak stanęli inni ludzie i ruch podziemny ogarnął stopniowo cały Kraj.

Kiedy następnie wojna zaczęła się przedłużać, rząd polski w Londynie w porozumieniu z przywódcami politycznymi Kraju powziął zgodne postanowienie utworzenia podziemnej armii i poddania jej jednolitemu dowództwu. Dzieło to zostało ostatecznie ukończone w dn. 1 września 1943 r. Wszystkie dotychczas luźnie działające oddziały i grupy partyzanckie zostały stopione w jedną całość i podporządkowane wspólnemu, wojskowemu dowódcy. Organizacja ta objęła wszystkich partyzantów, związanych wszelkimi kierunkami politycznymi, oczywiście z wyjątkiem komunistów.



Pod względem organizacyjnym wojsko podziemne podzielone jest na 1) stałe oddziały operacyjne oraz na 2) oddziały tworzone doraźnie do poszczególnych działań z pośród żołnierzy, którzy przechodzą ciągłe szkolenie i czekają na rozkaz ogólnego wystąpienia.

Oddziały stałe znajdują się już dziś w nieustannej walce. Według stanu z dn. 15 stycznia br. siła ich wynosi 200.000 ludzi. Liczebność oddziałów drugich, które można nazwać »rezerwowymi«, jest nieporównanie większa, nie może jednak być obecnie ujawniona.

Jakie wielkie rozmiary osiągnęła walka prowadzona przez nasze wojsko podziemne, świadczą następujące liczby przytoczone przez min. Banaczyka na podstawie danych polskiego Sztabu Głównego: W ciągu r. 1943 oddziały polskie stoczyły 81 bojów z siłami niemieckiej armii, Gestapo, straży granicznej bądź straży kolejowej, przy czym w większości przypadków były to regularne bitwy. Dokonano 19 napadów na budynki więzienne bądź transporty więźniów, odbijając ogółem 652 więźniów-żołnierzy wojska podziemnego. W czasie wszystkich tych działań zabito 740 Niemców. Na podstawie wyroków sądowych stracono 1163 agentów Gestapo oraz wyższych urzędników. Spowodowano wykolejenie 81 pociągów, przy czym poważnie uszkodzono tory kolejowe. Zniszczono 474 transporty wojskowe, wysadzono w powietrze 3 pociągi amunicyjne (przy czym zdobyto znaczną ilość broni i amunicji), jeden pociąg z benzyną, 6 mostów, 9 dworców kolejowych. W czasie tych działań zabito bądź zraniono 393 Niemców. Akcja sabotażowa doprowadziła do zniszczenia 2013 parowozów, 9980 wagonów, 212 cystern; spalono 250.000 litrów benzyny, uszkodzono 346 urządzeń maszynowych, zlikwidowano 47 składów wojskowych, w czym znaczną ilość samolotowych.

Powyższe liczby dają tylko częściowy obraz działalności polskiego wojska podziemnego. Wiele osiągnięć musi być jeszcze osłoniętych tajemnicą. Wszystkie jednak przytoczone fakty — zakończył minister Banaczyk — oparte są na raportach ścisłych i sprawdzonych.

SPRAWY POLSKIE

Umowa polsko-brytyjska. Jak wiadomo, W. Brytania przystąpiła do wojny na zasadzie postanowień układu, który zawarła z Polską w dn. 25 sierpnia 1939 r. Układ ten obowiązywał w zasadzie na 5 lat, tj. do 25 sierpnia 1944 r., wobec tego jednak, że nie został wypowiedziany, zachowa nadal swą ważność: oświadczył to minister Eden w Izbie Gmin. Należy przypomnieć, że układ ów zobowiązuje oba państwa do udzielenia sobie wszelkiej pomocy w razie zagrożenia żywotnych interesów jednego z umawiających się państw.

Glos Ameryki. Rząd St. Zjednoczonych nie zajął dotąd oficjalnego stanowiska w sprawie polsko-sowieckiej. Ze sprawozdania ambasadora Ciechanowskiego, który na wezwanie naszego rządu przybył z Ameryki do Londynu, wynika jednak, że Waszyngton skłania się do poglądu polskiego, iż spory o granicę należy odłożyć aż do zakończenia wojny. Niewątpliwym poparciem stanowiska polskiego jest publiczne oświadczenie ogłoszone w prasie St. Zjednoczonych przez 52 wybitnych amerykańskich polityków, dziennikarzy, duchownych, prawników i profesorów. Opinia amerykańska — głoszą oni — jest niemile zaskoczona zamiarem Rosji jednostronnego rozstrzygnięcia sprawy polskiej. Brytyjczycy i Amerykanie nie mogą zapomnieć, że Polska, ufając poparciu swych sprzymierzonych, pierwsza stawiła opór Hitlerowi, i to w dobie, gdy Sowiety uważały za użyteczne współpracować z Hitlerem. I oto dziś od Polski, która w następstwie swego kroku znosi niewymowne cierpienia, żąda się by na rzecz ZSRR poczyniła ustępstwa większe jeszcze od tych, których odmówiła Hitlerowi. Ziemie, których Rosja domaga się od Polski, stanowią 47% obszaru Polski przedwojennej, dla Rosji zaś oznaczać mogą przyrost terytorialny zaledwie o 1%. Związek Sowiecki nie tylko że odrzucił pośrednictwo Anglii i Ameryki, lecz nawet rozpętał ostrą kampanię na łamach swej prasy. Postępowaniem takim może jedynie wzmocnić stanowisko tych, którzy Rosji nie ufają. Jeśli Sowietom istotnie zależy na przyjaźni Ameryki, nie powinny one, wykorzystując swą siłę, narzucać uległych im rządów oraz niesprawiedliwych granic.

Stanowisko rzadu polskiego jest w sprawie rosyjskiej solidarne — oświadczył premier polski Mikołajczyk, minister zaś Kot oświadczył dziennikarzowi »Manchester Guardian«: Rząd polski gotów jest współpracować z Rosją na zasadach równości i obopólnej dobrej woli. Polska nie może wyjść z wojny z uszczuploną ziemią i ludnością — w przeciwnym razie wszystkie ofiary narodu okazałyby się niecelowe.

Pustoszenie Polski. Na temat sytuacji w Kraju minister Kot oświadczył: Niemcy cofając się niszczą i zabierają dosłownie wszystko — nie wyłączając naczyń kuchennych! Straszakiem »okrucieństw

(Dokończenie na str. 15)

W DNIU ŚWIĘTA WIELKIEJ NOCY SKŁADAM ODDZIAŁOM I ŻOŁNIERZOM DYWIZJI NAJLEPSZE ŻYCZENIA. NIECHAJ ŚWIĘTO ZMARTWYCHWSTANIA NATCHNIE NAS NIEZACHWIANĄ WIARĄ W OSTATECZNE ZWYCIĘSTWO SŁUSZNEJ NASZEJ SPRAWY I WZMOCNI SIŁY NASZE ORAZ GOTOWOŚĆ DO CZYNU I POŚWIĘCEŃ.

Dowódca 2. D.S.P.
PRUGAR-KETLING
gen. bryg.

WOLNOŚĆ POLSKI—WARUNKIEM WOLNOŚCI ROSJI

OD MARKSA DO LENINA

Londyński »Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza Polskiego« przynosi w jednym ze styczniowych numerów ciekawe zestawienie wypowiedzi na temat niepodległości Polski. Zestawienie to rozpoczyna się głosami twórców socjalizmu międzynarodowego.

Czytamy więc, co pisał na ten temat Marks w r. 1848:

»...Odbudowa Polski i uporządkowanie granicy polsko-niemieckiej są nie tylko niezbędne, ale są to zdecydowanie najłatwiejsze kwestie spośród wszystkich kwestyj politycznych, jakie powstały w Europie wschodniej... Oczywiście, że chodzi tu nie o zbudowanie jakiejkolwiek Polski od parady, samodzielnej tylko na papierze, ale o zbudowanie państwa naprawdę zdatnego do życia, państwa na mocnych podstawach. Polska musi obejmować obszar co najmniej z r. 1772, musi mieć nie tylko Pomorze, ale i ujścia swoich wielkich rzek, a także nad Bałtykiem wielki pas wybrzeża...«

Engels pisze w r. 1866:

»...Zasada polityki narodowościowej jest zwyczajnym wynalazkiem rosyjskim, ukutym ku zgubie Polski. Rosja zabrała większą część dawnej Polski pod pretekstem zasad nacjonalistycznych. Ta idea ma już więcej niż sto lat i teraz Rosja codziennie się nią posługuje. Cóż to jest panslawizm, jak nie zastosowanie przez Rosję i w interesach Rosji zasady nacjonalizmu do Polaków, Serbów, Chorwatów, Rusinów, Słowaków, Czechów...«

I wreszcie wspomnijmy o pięknych słowach Wilhelma Liebknechta:

»Kto nie ma sympatii i współczucia dla Polaków, a nienawiści i przekleństw dla morderców Polski — ten jest albo głupim gadułą, albo nikczemnym komediantem i obłudnikiem«.

Tak mówili twórcy socjalizmu z Marksem na czele, a z atmosfery i treści tych głębokich myśli i szlachetnych uczuć czerpał swoje poglądy Lenin. Na konferencji bolszewików w kwietniu 1917 mówi on:

»...Nikt tak nie uciskał Polaków, jak naród rosyjski. Naród rosyjski był w rękach carów katem polskiej wolności. Dla jakiego powodu my, Wielkorusi, ciemiężący więcej narodów aniżeli jakikolwiek inny naród, mielibyśmy odmówić uznania prawa do odłączenia się Polsce, Ukrainie, Finlandii?... Jeżeli Finlandia, Polska, Ukraina oderwą się od Rosji, nie będzie w tym nic złego!... Trzeba oszaleć, żeby kontynuować politykę cara Mikołaja... Przecież to byłoby wyrzeczeniem się taktyki internacjonalizmu, byłby to szowinizm najgorszej marki. Nie może być wolny naród, który sam uciska inne narody...«

Ten sam Lenin mówi 27 stycznia 1920 na wszechrosyjskim zjeździe Rad Gospodarki Ludowej:

»...My wiemy, iż największym przestępstwem było to, że Polska została podzielona pomiędzy kapitalizmy niemiecki, austriacki i rosyjski i że ten podział skazał naród polski na długie lata ucisku... I dlatego my rozumiemy tę nienawiść, którą przeniknięta jest dusza Polski, i mówimy Polakom, że nigdy tej granicy, na której teraz stoją nasze wojska — a stoją one znacznie dalej aniżeli zamieszkuje ludność polska — nie przekroczymy. Na tej podstawie proponujemy zawarcie pokoju... My wojny nie chcemy z powodu granicy terytorialnej, ponieważ chcemy zmazać tę przeklętą przeszłość, kiedy każdy Wielkorus uważany był za ciemięzcę...«

Dla dokładnego zorientowania się o jakiej to granicy mówi Lenin, jakie rozgraniczenie proponuje między Polską a Rosją, należy przypomnieć, że powyższa jego mowa zbiega się z równoczesną propozycją rządu sowieckiego z 28 stycznia 1920, skierowaną do rządu polskiego, a podpisaną przez Lenina, jako prezesa Rady Komisarzy Ludowych. Propozycja ta, mająca formę oświadczenia Rady Komisarzy Ludowych Rosyjskiej Republiki Sowietów do rządu i ludu polskiego, stwierdza m. in., że:

1) »...polityka RSFRS wobec Polski, wychodząc nie z wypadkowych i chwilowych kombinacyj wojskowych lub dyplomatycznych, lecz z niewzruszonej zasady prawa każdego narodu do stanowienia o własnym losie — uznawała i niezmiennie uznaje, bez warunków i zastrzeżeń, niepodległość i suwerenność Rzeczypospolitej Polskiej...«

2) »...Rada Komisarzy Ludowych, której obca jest wszelka polityka agresywna, oświadcza, że wojska czerwone nie przekroczą teraźniejszych linii frontu Białejrusi, przechodzących w pobliżu następujących punktów: Drysa — Dzisna — Połock — Parycze — stacja Ptycz — Białokorowicze...«

Jeśli chodzi o front ukraiński, to:

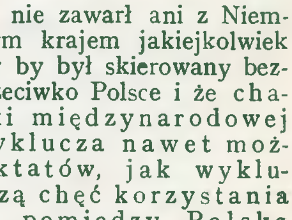
»...Rada Komisarzy Ludowych oświadcza w swoim imieniu i w imieniu Tymczasowego Rządu Ukrainy, że wojska sowieckie nie będą dokonywały operacji wojennych na zachód od zajmowanych linii, przechodzących w pobliżu miasteczek: Cudnów—Pilawy — Deraźne — Bar«.

3) »...Rząd Sowietów nie zawarł ani z Niemcami ani z żadnym innym krajem jakiejkolwiek umowy lub traktatu, który by był skierowany bezpośrednio lub pośrednio przeciwko Polsce i że charakter i duch polityki międzynarodowej władzy sowieckiej wyklucza nawet możność podobnych traktatów, jak wyklucza choćby najmniejszą chęć korzystania z możliwych kolizyj pomiędzy Polską a Niemcami lub jakimkolwiek innym krajem w celu zagrożenia niepodległości Polski i jej terytorium«.

4) »Rada Komisarzy Ludowych sądzi, że — o ile chodzi o interesy rzeczywiste Polski i Rosji — nie ma ani jednej kwestii, czy to charakteru terytorialnego czy ekonomicznego lub innego, która by nie mogła być rozstrzygnięta w drodze pokojowej — za pomocą rokowań, ustępstw i wzajemnych układów«.

Centralny Wszechrosyjski Komitet Wykonawczy z Kalininem na czele zatwierdził powyższe propozycje pokojowe rządu sowieckiego 2 lutego 1920 i wydał odezwę do ludności polskiej, mówiąc m. in.:

»...Polacy powinni zrozumieć, że pokój jest szczerym zamiarem Rosji... Wolność Polski jest wstępnym warunkiem do wolności Rosji... C.W.K.W. ma nadzieję, że na podstawie pokoju powstaną najlepsze stosunki między Rosją a Polską...«



ŚWIAT W OGNIU

PRAWA TEJ WOJNY

Nie tak dawno szwedzkie pisma doniosły o rzekomych słowach Churchilla, że: „Zanim upłyną Idy marca *), zajdą ważne wydarzenia". Słynne jego powiedzenie: „Zanim liście opadną z drzew, nastąpią ważne wypadki wojenne" — przyniosły nam inwazję na Sycylię i Włochy. „Idy marca" minęły stosunkowo cicho i słowa Churchilla — jeżeli były nawet wypowiedziane — zapisać chyba należy na karb „wojny nerwów".

W chwili gdy zbliżamy się do rozstrzygnięć w toczącej się wojnie, nie od rzeczy będzie rzucić okiem na dotychczasowy jej rozwój.

Czym jest obecna wojna? Jeżeli pominiemy różnice ideowe między przeciwnikami, to wojnę tę określić możemy jako olbrzymie zmaganie się mocarstw o opanowanie przestrzeni, o surowce i przyszłe obszary wpływów w świecie, o to czy i które z mocarstw będzie miało coś do powiedzenia na tej lub innej części kuli ziemskiej. Niemcy weszły w wojnę pod hasłem walki o „Lebensraum" — rzekomą przestrzeń do życia, która wraz z bogatymi zapasami surowców (żelaza, manganu, węgla, zboża itd.) leżała na wschodzie. Możemy już obecnie śmiało stwierdzić, że gdyby nie opór Polski, wojna byłaby się od razu skierowała tymczasowo na Wschód. Niemcy byłyby ją prowadziły w jednym tylko kierunku i prawdopodobnie by Rosję pokonały. Dla Anglii i Stanów Zjednoczonych wojna uległaby jedynie odroczeniu — co do tego nie ma wątpliwości — i nadeszłaby w czasie i warunkach dla tych państw o wiele gorszych.

W obecnym stanie rzeczy wszystkie trudności niemieckie sprowadzić możemy do następujących praw zasadniczych, które przeciwko Niemcom działają: konieczność walki na dwa fronty, trudności wynikające z opanowania zbyt wielkiej przestrzeni i utraconego czasu oraz wykorzystanie przez przeciwnika dotychczasowych doświadczeń wojennych.

Gdyby wojna potoczyła się była tylko na Wschód, byłaby się skończyła prawdopodobnie klęską Rosji — wspomnijmy na jej niepowodzenia w czasie wojny rosyjsko-fińskiej 1939/40 oraz na późne, bo dopiero w 1942 r., zmobilizowanie całych sił narodu rosyjskiego. Gdy jednak Niemcy rzuciły się na Rosję mimo że Anglia nie została jeszcze pokonana, powodzenia niemieckie skończyły się. Przekreślone zostały nadzieje ponowienia błyskawicznych zwycięstw z lat 1939/40, kiedy to, mając zabezpieczone tyły, uderzały kolejno na Polskę, Norwegię, Holandię, Belgię, Francję. Rozpoczęły się niepowodzenia wskutek wojny na dwa fronty. A zasada ta działać będzie przeciwko Niemcom jeszcze groźniej z chwilą, gdy rozpocznie się generalny atak — inwazja od zachodu lub południa.

Drugim czynnikiem działającym przeciwko Niemcom jest czynnik za dużej przestrzeni. Zagarniały ją Niemcy wskutek braku dostatecznej ilości własnych surowców (surowce i zboże ukraińskie, węgiel polski, francuski i belgijskie itd.) i sił roboczych, zagarniały ją dla zabezpieczenia swych tyłów (wał atlantycki) czy skrzydeł (Norwegia). Ale obecnie objęcie nadmiernych przestrzeni obraca się przeciwko Niemcom. Zabrakło po prostu dostatecznej ilości wojska do utrzymania tych obszarów we względnym spokoju. Przy okupacji spokojnego kraju potrzeba 1 żołnierza na 1 km^2. A przecież Niemcy zajęły blisko 3 i pół miliona km^2! I okupowane kraje nie pozostały przecież bierne, przeciwnie, rozpoczęły zażartą — jak np. w Polsce czy w Jugosławii — walkę podziemną. Gdy dodamy do tego olbrzymie długości frontów (3500 km na wschodzie, 6000 km na zachodzie), niebezpieczeństwo komunikacji i etapów — zrozumiemy, że stan ten jest coraz bardziej nie do zniesienia. Z chwilą gdy wojna błyskawiczna się skończyła — z kolei rzeczy nasunęła się konieczność opróżniania zajmowanych tak łapczywie, a tak drogo okupionych obszarów.

Ale skoro działania błyskawiczne ustały i zamieniły się na wschodzie czy na południu w walki żmudne, bo prawie pozycyjne — zaczął działać przeciwko Niemcom czynnik utraconego czasu. Czas zmienił zasadniczo i nieodwołalnie początkową wyższość niemiecką nad Sprzymierzonymi w sprzęcie wojennym i w wyszkoleniu żołnierza. Nadeszły bombardowania, które zaczęły niszczyć ośrodki niemieckiego przemysłu wojennego; do wojny przeciwko Niemcom przystąpiły Stany Zjednoczone i inne państwa.

W związku z tym zaczął działać czwarty czynnik: nauka przeciwnika na własnym przy-

*) Idami (Idus) nazywali Rzymianie 13 lub 15 dzień każdego miesiąca — w marcu wypadał ów dzień na 15-go.

Z walk na pustyni

Szakal



...Wojna często jest ogromną satyrą, brutalnym śmiechem z ćwiczeń. Żywymi celami usiany jest cały front. Za ledwo od ziemi odrosłym kamyczkiem (wbrew regułom ćwiczeń), za krzakiem, za pagórkiem czają się sylwetki jakże mało na pustyni maskowane, zwłaszcza jeżeli obleka je granatowy mundur włoski!

I do tych celów nikt nie strzela! Są po prostu potrzebne na wojnie jako przynęta, zakreślane są na setkach szkiców i map, jako punkty obserwacyjne, podsłuchy, stanowiska. Przyjdzie czas, że spadnie na nie żelazna ulewa.

...Gdy dzień się zaczyna, powietrze jest czyste i z dala, z Pilastrino, słychać polskie: »Bateria do dział!« i angielskie: »Fire!« Obserwator nakłada wolno hełm i poprawia swą pozycję w jamie, obłożonej kamieniami. Długą chwilę trwa zastygła cisza, aż wreszcie w powietrzu rozpoczyna się defilada świstów. Tam i z powrotem płyną jak ciężkie ptaki — wiercące sobie drogę w przestworzu — pociski. Naraz, o jednej sekundzie lądują tam i tu, nasycając chłód poranka siarką, prochem i warkotem śpiewnych odłamków. Prawa frontu nakazują działania precyzyjne: o tej samej sekundzie po obu stronach odpalają kanonierzy błyszczące pociski.

...Świty są najmocniejszym wrażeniem ludzkiego życia. Są jakby wiecznym odradzaniem się, sypią za każdym nawrotem na oczy zdziwienie. Tu, gdy tylko świt się wynurzy, pod drutami codziennie przebiega szakal, skomląc w przerażeniu, że go

kładzie. Zwyciężane dotychczas przez Niemców wojska sprzymierzone nauczyły się wojny i sztuki zwyciężania. W pierwszym roku wojny zdawało się, że przeciw wszechstronnie przygotowanej maszynie wojennej niemieckiej wyszła gromada niedoświadczonych dowódców i miernych żołnierzy. Nowe środki i sposoby walki, wprowadzone przez Niemców do wojny, wymagały opanowania nowych zasad i innego uzbrojenia. W Europie nie było dosyć przestrzeni, aby za cenę ustępowania z obszarów zyskać na czasie dla odpowiedniego uzbrojenia się i szkolenia w nowych zasadach walki. Dopiero na Wschodzie i w Afryce te przestrzenie się znalazły. Można było je poświęcić i zyskać na czasie. Na tych to terenach Niemcy — wydaje się to śmiesznym — szkoliły swego przeciwnika do walki ze sobą. Każda przewaga w broni i w taktyce wymaga przecież tylko czasu i zdolności u przeciwnika, aby mogła być nadrobiona i prześcignięta. A przecież za Sprzymierzonymi stoi cały świat wraz ze swymi surowcami.

Te cztery zasady — walka na dwa fronty, zbyt duża przestrzeń, utracony czas i doszkolenie przeciwnika — spowodowały, że wojna zmieniła w zupełności swe oblicze. Z ofensywnych działań, w których Niemcy z rozmachem miały poprzez Kaukaz podać rękę Japończykom, musiały one przejść do obrony tzw. „twierdzy europejskiej“. Zbliża się czas, gdy Sprzymierzeni na tę fortecę uderzą, ale już obecnie olbrzymia rozpiętość granic tej fortecy daje przeciwnikowi wielkie korzyści. Gdy z chwilą inwazji powstaną liczne przyczółki i walka z drugiego (włoskiego) frontu rozwinie się w trzeci i dalsze (francuski, norweski czy jugosłowiański) — trudność obrony „twierdzy europejskiej“ się zwiększy. Przecież z Berlina do Amsterdamu jest 550 km, do Narwy 1100 km, do Bordeaux 1300 km, do Rzymu 1650 km, do Krety 2000 km! Rozpiętość frontu: 3600 km z północy na południe i 2000 km z zachodu na wschód! Niepodobieństwem jest wszędzie być równie mocnym. Z tego też powodu wysiedlono ludność z obszarów tzw. „wału atlantyckiego“. Ta jedyna w dziejach wojen linia obronna, mająca przeszło 1000 km długości i 70-80 km głębokości, nie może być ścianą nie do przebycia. I ona musi mieć „tajemnicę słabych miejsc“. Przy budowie tego szańca pracowało setki tysięcy robotników cudzoziemskich, z których niejeden jego tajemnice poznał. W ogóle wprowadzenie do Reichu 12 milionów ludzi obcych narodowości, jako przymusowych robotników, jest dalszym kłopotem, z którym muszą się Niemcy liczyć w chwili ostatecznej walki.

Tego rodzaju zarys „twierdzy europejskiej“ wymaga nie tyle obsadzenia dokładnie każdego kilometra frontu, ile stworzenia silnych odwodów, gotowych do szybkiego przerzucania — nawet drogą powietrzną — na zagrożone odcinki. Amerykańskie źródła obliczają, że wojsko niemieckie liczy obecnie 6-10 milionów żołnierzy, co w każdym razie nie pozwala na dokładne obsadzenie „fortecy“, a więc

(Dokończenie na str. 15)

świt odkrył przy trupach. Wtedy hełmy unoszą się ze stanowisk i oczy żołnierzy wpijają się w rudy kontur zwierzęcia: nikt nie strzela do szakala. Jakby w urzeczeniu celowniczowie po obu stronach wrogich pozycji odrywają na moment oczy od celowników. Gdy szakal zawyje, budzą się nawet ci, którzy dopiero co przyszli z patrolu. Nie dokona tego chichotliwe szybowanie dalekonośnej artylerii ani młocka pomniejszych kalibrów po cierpliwym klepisku pustyni.

Gdy ludzie siedzą tygodniami pod ziemią, gdy wiedzą już dokładnie, ile jest w schronach myszy, ile puszek rezerwowych konserw i karabinowych pocisków — wojna staje się podobna do zabawy. Nawały artylerii i kośby pocisków są po to, aby nikt między liniami nie wychylał głowy, jak w jakiejś zabawie w »czarnego luda«. Czasem tylko psuje ją cieniutka strużka krwi, rozkosz much pustynnych.

Teraz właśnie przenieśli przez punkt Ślązaka. Pokazywali jego hełm z czternastu przestrzelinami. I na dobitkę rozerwał go pocisk moździerza.

Przed stanowiskiem, gdzie śmierć tak mściwie przydusiła do ziemi Ślązaka, poczęły się dziać w zasłonie hamsinu (burzy pustynnej) dziwne rzeczy. Najpierw wyraźnie słychać było płacz dziecka. Przerażenie strzelców przerwało szarpanie drutów i przytłumiony gwizd. Zadźwięczały telefony i alarm poszedł po linii:

— Niemcy próbują wykorzystać burzę piaskową!

Rozklekotała się nerwowo linia. W przerwie ogniowej znów ktoś zapłakał...

Dzień już zwolna upadał w morze. Właśnie dudni wieczorna dawka artylerii. Jeszcze mają wystrzelić piętnaście 75-funtówek, potem po dziesięciu minutach w przerwach minutowych wyląduje 25 granatów moździerzy, z kąta 270 oddadzą krótką serię km — i cisza oznajmi przerwę. Ale dziś nie wolno wychodzić z okopów dopóki patrol nie zbada przedpola.

Ziemi dotknęły znowu trzy rozdygotane serca. Ręce namiętnie starły z niej kurz. Patrol dotarł do zasieków. Po tamtej stronie była cisza. A więc nic...

W powrotnej drodze przez ręce jednego z patrolowców przeszły iskry. Palce dotknęły jakiegoś sukna czy skóry. Ale przedmiot się nie poruszył. Wtedy oczy rozeznały zewłok szakala. Na mgnienie oka patrolowców ogarnął strach.

— Musiał go Karlik ustrzelić i bydlę skowyczało cały dzień — przerwał dowódca.

Po powrocie patrolu i wiadomości o jego wyniku, w plutonie zabitego rankiem Ślązaka-Karlika zrobiło się dziwnie nieswojo.



Ale czas biegł, zmieniały się pozycje i stany ludzi w plutonach. Nie zmieniła się tylko melodia wiatru, pocisków i serca. Nie zmieniła się barwa pustyni i krwawych plam na niej. Pluton Karlika prześladowało dziwne nieszczęście: to miny, to zaginiony na patrolu, to jakiś głupi wypadek, to ciężkie pokaleczenie własne.

W plutonie tym wiedziano, że jeżeli szakal zapłacze w drutach, na pewno śmierć nazajutrz zajrzy do pobliskich schronów.

Jan Bielatowicz
(„Gazeta Polska“, Jerozolima, 1943)

WIEDZA O WOJNIE

NALOT 1000 BOMBOWCÓW



Rdzenne Niemcy w coraz większym stopniu stają się obszarem wojny lotniczej, przybierającej postać wielkich bitew powietrznych, nie tylko nocnych ale nawet dziennych. W kraju nie objętym wojną przeciętny słuchacz lub czytelnik dość obojętnie przyjmuje coraz częściej napływające wiadomości o potężnych nalotach. Aby jednak ocenić wchodzący tu w grę olbrzymi wysiłek Sprzymierzonych, należy zdać sobie sprawę, co to znaczy przygotować i przeprowadzić bojową wyprawę 1000 bombowców.

Przygotowanie takiego nalotu musi być nadzwyczaj drobiazgowe i rozporządzać ogromną ilością zarówno materiału jak i personelu. Np. do samego tylko załadowania bomb na samoloty trzeba użyć 4000 ludzi przez pełnych 5 godzin. Do obsługi naziemnej każdego 4 silnikowego bombowca i przygotowania go do lotu bojowego należy 50 ludzi (mechanicy, zbrojmistrze, technicy radiowi itd.). Do wykonania wyprawy 1000 takich maszyn na Niemcy potrzeba 4 i pół miliona litrów paliwa, czyli 45,000 stulitrowych beczułek.

Sztaby kierują starannie stopniowymi krokami wstępnymi, dopóki praca nie jest tak daleko posunięta, że potrzeba tylko wydać umówione hasło, ażeby całość puścić w ruch z dokładnością co do sekundy. Samo uzgodnienie powietrznej zbiórki wielu setek samolotów startujących z 10 lub więcej lotnisk, nieraz dosyć od siebie oddalonych, wymaga ogromnej precyzji kierownictwa. Eskadry bombowe, myśliwskie i zwiadowcze mają ściśle co do sekundy znaleźć się razem na wyznaczonej linii, gdzie — na podstawie otrzymanych poprzednio i ciągle drogą radiową napływających rozkazów — muszą sformować się we właściwą lotniczą armadę — bez zamieszania i zderzeń, niezależnie od tego czy to ciemna noc, czy też mgła albo chmury.



Poza nielicznymi dowódcami jednostek, którzy muszą być wcześniej wtajemniczeni, cała obsada dowiaduje się o celu wyprawy dopiero w powietrzu. Pierwszą rzeczą w rozpoczętym locie jest nawiązanie łączności radiowej między poszczególnymi jednostkami lotniczymi a ziemią, jako też wzajemnej łączności w powietrzu, gdyż radio jest prawdziwą siecią nerwów całej tej rozległej a skomplikowanej machiny.

Na parę godzin przed wyruszeniem bombowców wysyłane są patrole myśliwców o dalekim zasięgu dla rozpoznania, czy nie zaszły zmiany np. w maskowaniu celów głównych albo w rozmieszczeniu czy ilości stanowisk broni przeciwlotniczej i lotnisk myśliwskich. Wyniki tych zwiadów przekazywane są właściwym formacjom bombowców bądź na lotnisku bądź już w locie.

Jako rodzaj straży przedniej wysuwają się do przodu eskadry tzw. niszczyciele, mające zbombardować i ostrzelać znane nieprzyjacielskie bazy myśliwców, aby uniemożliwić albo przynajmniej utrudnić ich wejście do walki. Osobne zadanie przypada tzw. »pathfinders«, czyli wskazywaczom drogi; mają one oświetlić i wytyczyć wyznaczone cele przy pomocy wolno spadających rakiet świetlnych oraz bomb magnezjowych i zapalających, ułatwiając bombowcom szybką i celną pracę. Jednocześnie niszczyciele starają się przed przybyciem własnych sił głównych unieszkodliwić jak największą ilość reflektorów i baterii przeciwlotniczych. Od mniej czy więcej skutecznego wykonania tego zadania zależą w znacznej mierze większe czy mniejsze straty bombowców w rozpoczynającej się teraz bitwie.

Jedna formacja bombowców za drugą nadlatuje nad cel i rzuca swój ciężki ładunek bomb kruszących i zapalających. Przy nocnych nalotach zwykle nie chodzi o trafienie bezpośrednie stosunkowo małych przedmiotów — jak dworce, mosty czy pojedyńcze fabryki, — lecz o możliwie gęste obrzucenie wielkich czworoboków, obejmujących pewną ilość wyznaczonych do zburzenia celów.

Zasadnicze znaczenie dla udania się wielkiego nalotu bombowego posiada przydzielenie mu należytej osłony myśliwskiej, gdyż wyprawa taka narażona jest na zacięte ataki myśliwców nieprzyjacielskich prawie na całej drodze swego przelotu. Przy nalotach idących w głąb Niemiec osłona taka możliwa jest dopiero od niedawna dzięki wynalezieniu i wypróbowaniu myśliwców o dalekim zasięgu. Taka nowoczesna osłona myśliwska zdolna jest towarzyszyć bombowcom Sprzymierzonych nawet nad cel tak odległy, jak Berlin. Tak więc do 1000 bombowców dochodzi zwykle jakichś 500 myśliwców, które ubezpieczają je ze wszystkich stron, nie dopuszczając do rozerwania ich zwartego szyku przez myśliwce nieprzyjaciela ani do ich zepchnięcia z wytkniętego kierunku.

Celem zmylenia i rozproszenia obrony przeciwnika, trasa lotu wiedzie zazwyczaj drogą okrężną, aby nieprzyjaciel nie od razu się spostrzegł, dokąd nalot zmierza. Prócz tego stosuje się równoczesne naloty pozorne, wykonywane zwykle w ten sposób, że od głównej chmary lecącej np. na Berlin odrywają się mniejsze jednostki i zbaczają na Hannover, Frankfurt czy Stuttgart. Tak więc nieprzyjaciel prawie do ostatniej chwili nie jest pewien, na jaki cel uderzą siły główne, a w jego zarządzeniach obronnych może powstać duże zamieszanie.

Całe to potężne przedsięwzięcie trwa przeciętnie 4-6 godzin, licząc dolot, zrzucenie bomb i powrót.

Na zakończenie zestawmy ilość ludzi i sprzętu, potrzebną dla wykonania tak wielkiego nalotu i do względnie skutecznej przed nim obrony.

NALOT: 750 bombowców ciężkich (po 4 silniki), 250 bombowców średnich (po 2 silniki), 500 myśliwców (o 1 lub 2 silnikach). Uzbrojenie: 4500 armatek, 9750 k. m. Załoga — 9370 ludzi. Obsługa naziemna, sztaby itd. — 21.000 ludzi.

OBRONA: 1000 myśliwców, 3000 baterii przeciwlotniczych po 2 działa; ogółem 206,000 ludzi. *(ś)*

WIELKANOC

...1940

»...Do tego kościoła schodzi się w dół po stopniach i stopnie te są długie bardzo i wąskie, nierówne i powgniatane w ziemię jak popsute klawisze, aż schodząc człowiek stąpa ostrożniej, aby ich nie wgnieść jeszcze bardziej swoim ciężkim butem żołnierskim. Do kościołów Krakowa tak samo schodziło się po stopniach, były tak samo stare, tak samo gotyckie.

...Jest w powietrzu łagodnym, francuskim, rzeźwość wszystkich wielkanocnych poranków, ich wiosenność, ich chłód, ich słoneczność, ich mokrość. Ponieważ ten kościół gotycki wybiegł na skraj obronnego miasteczka-zamku, przeto ma za tło wzgórze przeciwległe, pocięte na pólka i ogrody, gdzie pierwsza zieleń runieje, gdzie ziemia wzruszona pługiem właśnie poczyna dymić w słońcu, bielić pleśnią oparów, pełzających leniwie, świątecznie, jak dymiła i dymi w tym roku gdzieś za Przegorzałami, gdzieś za Opatowem i przed Pyzdrami i na polu od Łogunowicz. Wiatr, który się niesie nad te wzgórza, który marszczy fale spiętrzonej u młyna rzeczki i przewiewa uliczki wąskie, jak w Gdańsku, jest to wiatr oceanu, wiatr dalekich olbrzymich mórz, które do nas dopływały wąską odnogą, które tu rozlewają się zewsząd. A jednak w ten wielkanocny francuski poranek nawet ten wiatr od Atlantyku nie ma morskiej słoności oddechu, nie ma oceaniczności swego pędu, a pachnie jak u nas tatarakiem, i sasankami jak u nas, i młodym pąkowiem bzów, i nawozem rozrzucanym widłami po polu, które ziemią pociętą pachnie. Oczy otworzyć — i jest gotyk, wojna i Francja. Oczy zamknąć — i są te zapachy wiosny polskiej, ta rzewność przedwiośniana, i ściszone słowa z kościoła swojskie, i śpiew o owym dniu wesołym, który dziś nam nastał, którego z nas każdy żądał, który naraz swą pogodą ściąga coś w piersiach skowytem, czymś szarpie w gardle, zacina, boli...

Kiedy, w jaką Wielkanoc, będziemy śpiewali tę pieśń starą, reyowską jeszcze i czarnolaską, całą pełnią wezbranej piersi, całą radością orężnego p o w r o t u?...

Ksawery Pruszyński

(„Wiadomości Polskie", Paryż, 5 maja 1940)

...1941

»...To jeszcze nie ta noc będzie Wielką Nocą zmartwychwstania Polski i Europy. To jeszcze nie tej nocy siły dobra odsuną kamień niewoli, przytłaczający żywych, i kamień grobowy, kryjący męczenników dobrej sprawy, aby żywym dać wolność, a umarłym — sprawiedliwość.

...Gdy jednak spojrzymy w duszę narodu polskiego, znajdziemy tam nie mrok zwątpienia, lecz ogień w i a r y. Gdy przyjdzie chwila... ogień ten wybuchnie pełnym blaskiem, niosąc tryumf dobrej sprawie.

Święta Wielkiej Nocy umacniają wiarę w ten tryumf...«

(„Dziennik Polski", Londyn, 26 kwietnia 1941)

...1942

»...Żadna prawda nie umiera. Nieraz przeznaczenie wyrokiem swym sprawia, iż prawda przez długi czas i po ciernistych drogach do słońca się wspina, że jest zapoznawana — ale mimo to istnieje. Można było Chrystusa ukrzyżować, a Polskę zmazać z mapy świata, można na widok całunów śnieżnych myśleć o śmierci wiosny, a w obozie koncentracyjnym — że zmarł na wieki uśmiech.



A tak nie jest.

Bo taka jest siła w żywocie ziemi, że po huraganach i śnieżycach zmartwychwstaje każda trawka, każdy krzew, każdy owad, że wraca i wracać będzie w nieskończoność wiosna, że wraca i wracać będzie uśmiech ludzki, że wykwitnie znowu wiara w miłość bliźniego, że p o w r ó c i Polska.

...Dlatego nie straciliśmy w i a r y.

Dlatego wierzymy w nadejście świtu — po tej nocy. Wierzymy w powrót życia — po tej powodzi śmierci. Wierzymy w zmatwychwstanie miłości — z tej otchłani nienawiści. Wierzymy w tryumf sprawiedliwości — po tym okresie okrucieństwa i zbrodni. Wierzymy, że wróci prawda — w rumowiskach walącego się świata zagrzebana.

Dlatego w i e r z y m y, że zmartwychwstanie Polska.

W i e r z y m y...«

(„Nowy Świat", Nowy York, 5 kwietnia 1942)

...1943

»...Postawieni wśród obcych, reprezentując wśród nich naród polski, musimy stale, na każdym kroku pamiętać, że mamy służyć dobremu imieniu Polaków. Wymaga to dużego opanowania się i wielu wyrzeczeń.

»Służymy poczciwej sprawie, a jako kto może — niech ku pospolitemu dobru pomoże«. Dopomóc możemy ku dobru pospolitemu mówiąc obcym rzetelną prawdę o Polsce i jej sprawach, starając się, by rozumiano dlaczego i o co walczymy...

...Tu i wszędzie potrzeba jedności braterskiej. Dzień ostatecznej próby może nie być odległym.

Ku polskiemu świętu Zmartwychwstania iść trzeba z sercem c z y s t y m«.

Marian Kukiel

(„Polska Walcząca", Londyn, 1 maja 1943)

PŁYNIE WISŁA, PŁYNIE...

Głos pierwszy:

Płynie Wisła, płynie
po polskiej krainie,
w swym królewskim łożu —
ku polskiemu morzu.

Płynie Niemen królewski,
Niemen polsko-litewski.

Płynie poznańska Warta,
harda, dumna, uparta.

Płynie Prypeć poleska,
złota — senna — niebieska.

Głos drugi:

A tu Dniestr srebrnołuski,
zuchwały, polsko-ruski.

Tu Dunajec tatrzański,
hej, śmiały, sobiepański.

San, ku Wiśle stęskniony,
Bug zakochany w Narwi —

Głos trzeci:

Jakiż to zachód czerwienią
wodę w strumieniach barwi?

Czy to Pan Jezus na Święta
wodę przemienił w wino?
Purpurą toczą się rzeki,
czerwienią strumienie płyną.

Głos pierwszy:

To świt tak się w chmurach tli.

Głos drugi:

Wzeszło słońce—woda wciąż czerwona!

Głos trzeci:

Ach, płynie strugami krwi
polska ziemia.
Ziemia zraniona.

— — — — — — — — —

Głos pierwszy:

Hej! Śmigus! Dyngus! Oblewany
Poniedziałek! Hej, chłopaki, dziewki,
a szykujcież wiadra i dzbany!
A szykujcie stągwie i konewki,
a po miastach — sikawki i krany!
Śmigus, dyngus — to nie przelewki!
Chluśniesz na mnie—a ja lepiej umiem!
Hej! Zabawa!

(Chwila ciszy)

Rozumiesz?

(Chwila ciszy)

Głos czwarty:

Rozumiem.
My gotowi już. Chciwa dłoń
pięści chłodne, okrągłe granaty.
W piwnicy, pod gruzem — broń.
Karabiny zawinięte w szmaty.
Wyostrzony jak brzytwa nóż.
Zakopany rewolwer w oliwie.
Jak dzień przyjdzie, jak znak przyjdzie — że już
— no to chluśnie się. Sprawiedliwie.

Głos pierwszy:

Hej! Śmigus! Dyngus! Poniedziałek!
Hej! Zabawa! Patrzcie—jaki śmiałek—
tam! O! Głowę wychylił zza węgła—
a dziewczyna--wiadrem chlust! Dosięgła!
—Szkoda wielka, żeście nie widzieli!—
Hej, wesoło!

Głos czwarty:

Jeszcze będzie weselej!

Głos drugi:

Śmigus! Dyngus! Od wieków bywało
w ten dzień w Polsce zabawy niemało!
I radości, kwietniowej uciechy!
Piski, wrzaski, podstępy i śmiechy!

Ziemia mokra dyszała wiosną,
wiatr ją głaskał — pachnącą, radosną.
Niebo ziemię wołało do siebie,
a obłoki śmiały się na niebie —
a na ziemi ludzie się śmieli,
młodzi, młodzi, wiosenni, weseli!
Śmigus – wrzawa! Dyngus—śmiech, gonitwa!
Bitwa była...

Głos czwarty:

Będzie. Będzie bitwa.
To już może nie tak wiele dni.
Dni. Miesięcy. W lecie. Na jesieni.
Śmigus przyjdzie. Strumieniami krwi
woda w rzekach się zaczerwieni.
Trawa będzie czerwona lub śnieg —
jakby w niebie wszystkie słońca prysły—
gdy chluśniemy wodą z polskich rzek—
z Bugu—z Narwi—z Dunajca – z Wisły.

Nasze żniwo będzie. Ich był siew.
Hej, wiślana woda, dunajecka
zarumieni się—lecz ta krew
nie nasza będzie...

— — — — — — — — —

Głos piąty:

Potem – przyjdą wielkie, jasne święta.
Żywych będzie się liczyć ze łzami,
i poległych wszystkich się spamięta
i obsieje się groby kwiatami.
A gdy niebo wiosną się rozpęknie
w te niebieskie i złote zorze —
nad gruzami będzie znów tak pięknie,
jak tylko w Polsce być może.
I stopnieje w Tatrach biały śnieg,
wodą spłynie przeczystą i jasną
i obmyje dłońmi polskich rzek
ziemię polską — naszą — swoją własną.

Głos pierwszy:

Śmigus dzisiaj! Dyngus! Hej--uciekam--
nie dogonisz! Już się wiadra imam —

Głos drugi:

(Szeptem)

Bracie —

Głos czwarty:

(Szeptem)

Bracie!

Głos drugi:

(Szeptem)

Doczekasz?

Głos czwarty:

(Szeptem)

Doczekam!

Głos drugi:

(Szeptem)

Bracie —

Głos czwarty:

(Szeptem)

Bracie!

Głos drugi:

(Szeptem)

Dotrzymasz?

Głos czwarty:

(Szeptem)

Dotrzymam!

MARIAN HEMAR



Władysław Skoczylas POCHÓD ZBÓJNIKÓW

ANGLIA I PRZYNALEŻNOŚĆ WILNA DO POLSKI



Jak wiadomo, premier brytyjski Churchill oświadczył w swej ostatniej mowie z dn. 22 lutego, że Anglia nigdy nie uznała przynależności Wilna do Polski. Aby dać czytelnikom naszym właściwy pogląd na sprawę, — zamieszczamy poniżej wyjątki z artykułu, który się na ten temat ukazał na łamach »Liberté« w Fryburgu z dn. 11 marca br. Artykuł ten przytacza pewne fakty historyczne i bezsporne, które każdy Polak powinien dobrze zachować w pamięci, prostując nieporozumienia przy każdej nadającej się sposobności.

»Postanowienie Rady Ambasadorów — pisze «La Liberté« — w skład której to Rady wchodził również upełnomocniony przedstawiciel Wielkiej Brytanii — powzięte w dn. 15 marca 1923 w Paryżu, i tegoż dnia podane do wiadomości rządu polskiego, uznało jako granicę Rzeczypospolitej:

1. co się tyczy granicy polsko-rosyjskiej — linię graniczną, ustanowioną w traktacie polsko rosyjskim w Rydze w dn. 18 marca 1921 r.

2. co się tyczy granicy polsko-litewskiej i polsko-łotewskiej — co właśnie rozstrzyga o przynależności Wilna do Polski — linię wyznaczoną z szczegółowym wymienieniem miejscowości (nazw ich tutaj nie przytaczamy). Linia ta przyznała Polsce wszystkie te ziemie, które zostały w jej władaniu aż do dn. 17 września 1939 r., tj. aż do inwazji sowieckiej.

To samo postanowienie wyraźnie przyznaje Polsce wszystkie prawa zwierzchnie (suwerenne) do ziem, które się znajdują na zachód od tak wyznaczonej granicy.

Wszystkie postanowienia uznające zachodnie i północno-zachodnie granice Polski w stosunku do Niemiec i do Wolnego Miasta Gdańska, posiadają — co należy szczególnie podkreślić — tę samą moc prawną, co postanowienie Rady Ambasadorów z dn. 15 marca 1923 r. uznające granice Polski z Rosją Sowiecką, z Litwą i z Łotwą. Podpis pełnomocnika Wielkiej Brytanii widnieje na wszystkich tych aktach międzynarodowych, zachował on po dziś dzień pełną wartość prawną.

Nie od rzeczy jest przytoczyć, że nadzwyczajne posiedzenie Zgromadzenia Ligi Narodów, zwołane w r. 1932, powzięło w dn. 11 marca z inicjatywy brytyjskiej następującą uchwałę: »Zgromadzenie... oświadcza, że członkowie Ligi Narodów nie mogą uznać żadnego stanu faktycznego, żadnego traktatu czy układu, które byłyby stworzone środkami sprzecznymi z ... paktem paryskim«, tzn. za pomocą siły i decyzji jednostronnych.

Na zakończenie przypomnijmy oświadczenie rządu sowieckiego wyrażone przez Litwinowa, podówczas komisarza do spraw zagranicznych, w toku 91-j sesji Rady Ligi Narodów w Londynie w marcu 1936 r. Litwinow oświadczył wtedy co następuje: »Uważamy, że nie jest możliwym walczyć o pokój nie broniąc jednocześnie nienaruszalności międzynarodowych zobowiązań i to w szczególności tych, które bezpośrednio tyczą utrzymania granic państwowych«.

Londyński „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza“ z 18 stycznia 1944 r. pisze co następuje:

Wilno jest miastem polskim

We czorajszym wydaniu pisma „The Daily Telegraph“ ukazał się list do redakcji min. sprawiedliwości, prof. Wacława Komarnickiego. List ten podajemy poniżej w całości (Red.).

Przeczytałem w „Daily Telegraph“ list p. Gourvish'a, który twierdzi, że nie można uznać Wilno za miasto polskie i że liczba ludności polskiej jest tam nieznaczna.

Działalność całego mego życia była ściśle związana z tym miastem i z krajem, który je otacza. Byłem profesorem prawa państwowego i międzynarodowego na uniwersytecie wileńskim w ciągu lat dwudziestu. Byłem trzykrotnie wybierany członkiem Rady miejskiej Wilna w okresie od 1927 do 1939. Od r. 1928 do 1935 byłem posłem na Sejm w Warszawie z okręgu wileńskiego, przy czym muszę podkreślić, że nie byłem posłem z listy rządowej, lecz członkiem opozycji. Mój okręg wyborczy obejmował nie tylko miasto, ale i jego okolice i dlatego też zostałem wybrany nie tylko przez mieszkańców samego miasta, ale i przez biedniejszą ludność podmiejską i wiejską.

Dlatego też mogę z pewną znajomością rzeczy mówić o tej sprawie. P. Gourvish otrzymał dane fałszywe, jak to udowodni rzut oka na statystykę. Polski rocznik statystyczny z 1939 podaje następujące cyfry odnoszące się do ludności Wilna: Polacy — 128.600, Ukraińcy — 100, Rusini — 100, Białorusini — 1.700, Rosjanie — 7.400, Niemcy — 600, Żydzi — 54.600, inni — włączając w to Litwinów — 2.000. Dlatego też litewska ludność Wilna była nieznaczna.

Wilno zawsze było jednym z ośrodków życia umysłowego i kulturalnego Polski. Zwłaszcza uniwersytet wileński po rozbiorach, przy końcu w. XVIII, stał się głównym ośrodkiem polskiej kultury i tradycji. Pomiędzy jego studentami znajdował się największy polski poeta narodowy, Adam Mickiewicz. Wilno jest i pozostanie znów i na zawsze polskim sanktuarium.

Wacław Komarnicki
Profesor Uniwersytetu Wileńskiego

ZAMIAST ŻYCZEŃ ŚWIĄTECZNYCH

Szef Duszpasterstwa 2. D.S.P. ks. W. Święcicki złożył za naszym pośrednictwem na rzecz jeńców fr. 20.—; kpt. J. Nowaczyk, Herisau, na dzieci polskie fr. 5.—; B. Celiński, Genewa, na dzieci polskie fr. 20.

PODARUNKI ŚWIĄTECZNE!

Album z 6 linorytami (z życia internowanych) J. Fortuny w cenie fr 3.50 do nabycia w Redakcji.

* * *

POSZUKIWANI SĄ KANDYDACI NA PRELEGENTÓW do wygłaszania w obozach żołnierskich odczytów na tematy wsi i rolnictwa.

Zgłoszenia z dokładnym życiorysem nadsyłać do kierownictwa Kursów Szkolenia Zawodowego w Matzingen, Thg., skąd zgłaszający się otrzymają dokładne dalsze informacje.

Z konkursu »Humor na internowaniu« (III nagroda)

»INTERNIERTENKOMPLEX«

czyli

»POWRÓT NA ŁONO RODZINY«

Sycząc parą i zgrzytając hamulcami, pociąg zatrzymał się na stacji mego rodzinnego miasta. Skierowałem się do domu, wziąwszy swój skromny dobytek internowanego żołnierza, a więc: plecak z przyczepką, dwa chlebaki, manierkę z menażką, trzy walizki, wypełnione głównie pamiątkami od poczciwych Szwajcarów, jak np. kilka pidżam, kilka par bucików cywilnych, kilkanaście par bielizny normalnej oraz ciepłej, dwa ubrania cywilne »na wszelki wypadek«, grzejnik elektryczny, maszynkę spirytusową »Meta« (na wypadek gdy w danym m. p. nie ma elektryczności), samouczki i słowniki do siedmiu obcych języków (z czego w dwóch językach już nawet w razie konieczności jako tako potrafię się rozmówić), pisownię polską (nowa i stara, obie stosowane narówni), gruby plik wycinków z gazet na temat ciężkiej doli internowanych i ich pożytecznej pracy na rzecz kraju, w którym zrządzeniem losu się znaleźli, ponadto siedem swetrów (z rękawami i bez) itp. Dwa duże toboły, zrobione z koców, a zawierające pozostały skromny dorobek biednego internowanego, oraz narty i wędkę składaną, zostawiłem na razie na dworcu w przechowalni Ze sobą wziąłem jeszcze tylko drobny 5 kilowy pakiecik, zawierający moją (zresztą szczupłą) korespondencję oraz pamiątkowe fotografie.

Idąc przez miasto z trudem rozpoznawałem ongiś tak dobrze mi znane ulice... Ale cóż dziwnego, tyle lat!...

Wreszcie doszedłem do domu, w którym ongiś mieszkałem, a w którym dotąd mieszka moja (liczna zresztą) rodzina. Rozejrzawszy się dokładnie naokoło, czy ktoś mie nie śledzi — bo uświadomiłem sobie naraz, że jestem bez przepustki — zręcznie wśliznąłem się do bramy. Postawszy chwilę na schodach przed drzwiami mieszkania, celem sprawdzenia czy nie usłyszę przypadkiem obcych niepożądanych głosów, zadzwoniłem.

Nie będę opisywał chwil powitania; stanowczo zbyt wiele było nieprzezornego hałasu (przecież byłem bez przepustki) oraz wylewnej serdeczności, która ze strony rodziny jest zupełnie zbędna i niewłaściwa. Po wstępnych opowiadaniach na temat lat rozłąki, nadeszła pora obiadowa, tj. godz. 12. Odtroczywszy z plecaka swoją menażkę a za pas włożywszy niezbędnik, zapytałem gdzie tu się staje w ogonku po obiad (nauczony doświadczeniem wolałem oczywiście stanąć pierwszy!). Spotkałem się z dziwnymi spojrzeniami i jak gdyby pewnego rodzaju politowaniem. Usłyszałem nawet szeptem rzucone słowa: »Biedny Hipcio!...« Ponadto powiedziano mi, że obiad będzie dopiero o godzinie drugiej (drugiej — nie 14!) i że żadnego ogonka nie będzie, że się po prostu siada do stołu.



Ten brak elementarnego porządku wzburzył mię w najwyższym stopniu. Obiad o dwie godziny spóźniony, nie staje się w ogonku, nie je się z menażki, niezbędnik jest zbędny, i w ogóle — itd. I to podobno jest tu tak zawsze. Zawrzałem gniewem na ten bałagan. Jakże można żyć w ten sposób?

Po obiedzie, który był jedną udręką, nie pozwolono mi umyć talerza — ba! niestety, zmuszono mnie rozstać się z menażką, z którą tyle lat nigdy się nie rozstawałem — a potem każdy poszedł robić co mu się podoba. Gdy zapytałem o program popołudniowy, znowu spotkałem się ze zdziwionymi spojrzeniami, a mały Felek (widać leń patentowany) tym razem całkiem głośno powiedział: »Biedny Hipcio!« Tego było mi już za wiele. Zapytałem głośno w zdenerwowaniu: Kto tu u licha jest w tym baraku — w tym domu — poprawiłem się — »Ortszefem«?!

— Ależ Hipciu, Hipciu drogi, Hipuchno! — usłyszałem zewsząd — o cóż ci właściwie chodzi? O jakiego znowu „ortszefa“?!

— O porządek, o porządek mi chodzi, o normalne, rozumiecie, n o r m a l n e warunki ludzkiego zbiorowego bytowania!

Ogonków nie ma, „Ortszefa“ nie ma, programu nie ma, może jeszcze nie będzie apelu wieczornego i pobudki — i co pewien czas apelów mundurowych — a także przepustek wyjściowych poza rejon? A może w ogóle u was jeszcze rejon nie jest wyznaczony? Jak tu u was żyć można?! Przecież ja tu nie wytrzymam! Ja wrócę do porządku, do dyscypliny, do uregulowanego, normalnego życia, — wrócę do stanu internowania!! Bo tam człowiek może swobodnie żyć i oddychać! —

Mój gniew wywołał powszechną konsternację i już więcej słowa „biedny Hipcio“ nie padły. Zrozumieli zapewne, że mam rację i że oni dotąd żyli w stanie jakiegoś niemal rozwiązłego barbarzyństwa.

Widziałem jednak równocześnie po ich ogłupiałych minach, że sami sobie życia zorganizować nie potrafią, że słowem potrzebna tu jest moja inicjatywa. Należało więc zacząć od rozgraniczenia kompetencji, ustalenia programu, kolejności służb, rejonu wyjścia, terminu zgłaszania się po przepustki itp. drobiazgów. Długoletnie doświadczenie na internowaniu nauczyło mię jednak, by nie brać, broń Boże, odpowiedzialności na siebie. Od tego jest „Ortszef“ i „oficer odpowiedzialny“ — ale nie ja! Nie ma głupich!...

Ciocia Terenia wydała mi się najbardziej energiczna, postanowiłem więc, że ona zostanie „Ortszefem“. Wuj Kizio otrzymał funkcję „furiera“, kucharka została mianowana kucharzem, pokojówka — barakowym, zaś z reszty rodziny oraz z dzieci wujostwa stworzona została 1. kompania. Ja sobie wyznaczyłem sam funkcję kancelaryjnego oraz (ze względu na dodatek do żołdu) tłumacza. Znam już przecież prawie dwa języki!

Uporawszy się jako tako z podziałem funkcyj, postanowiłem wyjść na miasto, odetchnąć trochę po podróży i trudach organizacyjnych.

W tym celu przebrałem się w cywilne ubranie, włożyłem ciemne okulary, zaczesałem się z prawej strony na lewo (zwykle robię to odwrotnie) i „zakamuflowany" w ten sposób wyślizgnąłem się sprytnie z domu przez nikogo z obcych nie zauważony.

Spacer jednak wkrótce mnie znużył, a że była to niedziela, więc postanowiłem pójść do kina na popołudniówkę, jako że na ten seans można pójść bez przepustki. Przy kasie omal nie wpadłem.

Gdy zażądałem biletu, dano mi I miejsce; powiedziałem kasjerce na to, że skoro proszę o bilet, to jasne, że chodzi mi o bilet na III miejsce. Od lat nie kupowałem przecież innego! Na to podaje mi bilet na żądane miejsce, ale za pełną cenę. Tego jej nierozgarnięcia nie mogłem już znieść; zirytowanym głosem powiedziałem: »Czy pani nie widzi, że mi się należy zniżka, że jestem przecież...« Tu miało paść fatalne słowo --- internowany! --- ale na szczęście spostrzegłem się, że jestem w cywilnym ubraniu i że wobec tego kasjerka mogła nie wiedzieć, że mi przysługuje pół ceny i to na III miejsce.

Gdy wyszedłem z kina był już zmierzch. Idealna pora na wrzucenie do skrzynki cywilnej listu, który uprzednio napisałem w domu. Rozejrzawszy się ostrożnie, w jakimś zaułku wrzuciłem zgrabnym ruchem list do skrzynki. Nikt tego nie zauważył! Ucieszony tak pomyślnym załatwieniem sprawy, podążyłem okrężnymi drogami do domu. Ale po drodze wstąpiłem jeszcze do dwu kafejek (alkoholowych). Zażądałem kirszu, ale nie znali tu, niestety, tego miłego płynu, więc skończyło się na piwie, którego zresztą --- wbrew moim przyzwyczajeniom --- nikt za mnie nie spieszył zapłacić. Znowu to cywilne ubranie! --- pomyślałem płacąc (bez napiwku).

W domu --- Sodoma-Gomora! Okazało się, że moja rodzina zdążyła już zawiadomić znajomych o moim powrocie, a oni zaraz przylecieli mię witać. Rozgardiasz był ogromny, musiałem odpowiadać na setki, najczęściej głupich i niezrozumiałych pytań, przy czym moje odpowiedzi wywoływały jak zauważyłem często zdumienie i jakby niedowierzanie --- a wtedy, przy jednej z takich odpowiedzi, mały Felek znowu głupio wypalił: A bo proszę pani, tatuś powiedział, że Hipcio ma »Interniertenkomplex«. A Klimcia mu płaczliwie zawtórowała: Biedny kuzynek Hipcio!...

Zirytowałem się na to bardzo i ryknąłem: --- Baczność! Do swoich baraków rozejść się!!! --- Poskutkowało. Goście pierzchnęli. Odetchnąłem. Co prawda, »Ortszef«, tj. ciocia Terenia, urządziła mi odpowiednie o. p. r. --- jako że wobec gości byłem nieuprzejmy itd., ale ostatecznie od tego jest »Ortszef«, żeby o. p. r. odstawiał.

Przy kolacji wprawdzie jeszcze menażek nie było (»furier«, wuj Kizio, obiecał je kupić), ale już do kuchni wszyscy podchodzili w ogonku. Usłyszałem co prawda szept: To tylko na razie, dla świętego spokoju... I znowu westchnienie: Ach ten biedny Hipcio!...

O godz. 21 zarządziłem apel wieczorny, przy czym sprawdziłem obecność oraz odczytałem program zajęć na dzień następny. Specjalnie zająłem się niesforną a liczną dzieciarnią wujostwa, sformowaną w 2 drużynę. Była więc przewidziana nauka języków obcych, gry i zabawy sportowe, zajęcia świetlicowe, pisanie listów, towarzyska gra w »oko« oraz wykład z zakresu regulaminu służby wewnętrznej. Funkcyjni --- tj. kucharz, barakowy i ja --- też zostali poinformowani co, jak i kiedy mają do roboty. Do reszty domowników na razie się nie mieszałem, dając im czas na oswojenie się z nowym trybem uregulowanego życia.

Po zarządzeniu i odśpiewaniu zbiorowym modlitwy, dałem: »Rozejść się!«

Wszyscy udali się na spoczynek. Wtedy spostrzegłem jeszcze jeden skandal: karygodny brak ekonomii miejsca. Łóżka znajdowały się aż w kilku pokojach, fantazyjnie porozstawiane. Kazałem je znieść do jednego, najobszerniejszego --- i porządnie uszeregować.

Na to wuj Kizio się odezwał: --- No, tego już za wiele! --- Wtedy odpowiedziałem: --- Wcale nie jest ich za wiele, a jeśli się nie zmieszczą, to zostaną spiętrzone. I takby zresztą być powinno.

Sam udałem się na spoczynek do oddzielnego pokoju, bo jako funkcyjny miałem do tego prawo. Na drzwiach wywiesiłem napis w trzech językach: »Eintritt verboten! --- Entrée interdite! --- Wejście wzbronione!« A mimo to, gdy rozkładałem swoje koce, weszła Frania, tj. barakowy, pytając czy czego mi nie trzeba. Znam się na takich pytaniach! Cacy-cacy, czy czego mi nie trzeba, okaże się że np. trzeba, a potem --- 3 miesiące Tobla albo Wauwilermoos! Kazałem więc jej natychmiast opuścić pokój.

Po chwili namysłu doszedłem jednak do wniosku, że w gruncie rzeczy jest to zupełnie niczego dziewczyna i że popełniłem błąd taktyczny. Wobec tego po pewnej chwili poszedłem napić się wody do kuchni, gdzie właśnie kończyła wieczorne porządki panna Frania.

I tak się jakoś złożyło, że zamiast szklanki z wodą w ręku, znalazła się panna Frania u mnie na... kolanach.

Naraz (Co za pech! Nigdy mi się nie zdarzył w ciągu czterech lat internowania!) wchodzi do kuchni „Ortszef", tj. ciocia Terenia. Zerwałem się na równe nogi (oswabadzając je równocześnie z wyżej wymienionego ciężaru) i począłem posłusznie meldować, że to po raz pierwszy, że dotąd jeszcze nigdy... że to tylko tak sobie, bez poważnych zamiarów i że w ogóle...

Potok mojej wymowy przerwał ryk, jak gdyby trąby archanielskiej na sądzie ostatecznym, ryk „Ortszefa", tj. cioci Tereni, ale nie zupełnie a propos i o barwie głosu skąd inąd dobrze mi znanej:

— Wstawać, do jasnej cholery!! Była pobudka czy nie, psiakrew? Was to specjalnie budzić trzeba?! Dziesięć po szóstej, do stu tysięcy diabłów!

Zerwałem się jak oparzony, zwłaszcza że równocześnie sfrunęły ze mnie wszystkie koce zdobyte na internowaniu, targnięte ojcowską ręką szefa baraku. Okazało się, że ciocia Terenia, to był sen, a pobudka --- to rzeczywistość. Ale mimo to uśmiechnąłem się z całej duszy i serca do groźnego szefa, bo wszak pobyt na łonie rodziny był straszliwą udręką.

Ale szef nie zrozumiał mego uśmiechu.

— Co taką durną mordę robicie --- jakby wam podwójną repetę dawali?! Wstawać, a żywo!!

I jakże miałem mu wytłumaczyć, że mój uśmiech wynikał z ogromnej radości, iż tamto wszystko --- to był koszmarny sen, i że przepełniała mi serce radość, iż oto wracam do uporządkowanego, uregulowanego, normalnego życia na internowaniu...

Hipcio (Fryburg)

ŻYCIA OBOZÓW

Riniken

Grypa szaleje w obozie. — Zaczęło się niewinnie. Poszedł jeden, był zresztą zawsze słabowitego „kompleksu", toteż nikt jeszcze nie wiedział i nikt się nie przejmował. Sanitariusz gwizdał „swing-swing" i miewał „sczęście" w pokera. Doktór grywał w „cztery piki" i leżał bez „dwóch", kłócił się, politykował i szukał kuponów. Ludzie chodzili do roboty — w obozie panował ład i spokój. Odszedł drugi chory, ale znów wszystko odbyło się cicho, jakoże i on sam był cichego, pokornego charakteru. Sanitariusz gwizdał „swing-swing" i miewał znów „sczęście" w pokera. A doktór grywał w „cztery piki" i leżał „bez trzech". Minął jeszcze dzień i kuchnia „nawaliła" — dwóch „chyciło", ale wnet wrócili, bo to — zdaje się — tylko o kapichnę było za dużo: ciut-ciut ino štery dycy... Jednego raz boki i krzyż „łamali", ale okazało się, że chciał se z góry na nartach zjechać i ino mu drzewo przeszkodziło. I zdawało się, że wszystko będzie w porządku... Ale gdzie tam! Worek z „grypą" pękł — „chyciło" znów kilku. Izba chorych pełna, przygotowali barak-lazaret. Sanitariusz nie miał sczęścia i poszedł „z widłem na gnój". Doktór nie grywał w „piki", ale „latał" po obozie, po barakach, szukał, pukał, zaglądał w oczy. O la, laola, la! Leżała sobie taka chłopina po obiedzie na wyrze i odpoczywała se Wpadł doktór — o la la la, chory?

„E, nieee, tak se leżę".

Ale gdzie tam. Doktór bada puls:

„O la, o la, no tak: chory — i nic nie mówić? Wstydzić się umrzeć! O la la, przymierzyć gorączkę!"

No i chłop, zdrów właściwie, ze strachu dostał gorączki i poszedł.

A na innym baraku jeden taki już sam krzyczy: „Dawać tu tego z „metrem", bo cosik cuję!"

I rozpętała się grypa. Ludzie zaczęli wmawiać jeden drugiemu chorobę i skądinąd chłopisko zdrowe uwierzył i ryczał: „Chłopaki, dajta mój „sielniok"!" — brał go na grzbiet, szedł do lazaretu i rzeczywiście chorował.

Był taki chłopina, nieduży ale na żarcie zawzięty, zdrów, siekierą by go nie dobił, ale poszedł do lazaretu, bo to myślał, że się tam na żarciu odkuje, ale nie udało się, bo i jemu jeść nie dali. Chłopina zły, zmarniał ale wyzdrowiał.

W obozie cicho i pusto, ludzie snują się po barakach wystraszeni, jeden drugiemu zagląda w oczy i pyta: „Coo, nie chyto ciee?" A na apelu komendanci im więcej mają chorych, tym głośniej i z dumą zdają stan, a biedny komendant, który nie miał chorych, wstydzi się bardzo i ze złością spogląda na swoich „kobuchów", ba gotów jest sam zachorować. Zaczęło się również polowanie na „funkcje", ale niestety to bractwo twarde, no bo i właściwie z czego to ma chorować? Ja sam się przyznam, że chciałem się dostać „na pocztowego", lecz gdzie tam, chłopisko (przepraszam, panie podchorąży!) zdrowe i o mało co we mnie choroby nie wmówił. Grypa zaś szaleje dalej. Doktór chodzi, szuka, krzyczy, mie-

---

BARAKI MÓWIĄ

OBÓZ NIEZDROWYCH

Po wielomiesięcznej kuracji, rozpróżniaczony, wydelikacony, z różnymi skłonnościami do zachorzeń i całym tym balastem nadwrażliwości, jakie rodzi długi stan chorobowy, zjechałem w dolinę Emmy, gdzie --- wtłoczony między lesiste zbocza wzgórz --- osiadł obóz półzdrowych --- Oberburg. Przyszło mi zamienić wygodne, miękkie łóżko na twardy, »dotkliwie przyjemny« siennik. Raził mnie kołowrotkowy wiż życia barakowego, czasami zbyt hałaśliwy, przeplatany kłótniami i gniewem z powodu byle jakiej drobnostki, brak poczucia odpowiedzialności u niektórych osobników, niekrępowanie się w wypowiadaniu oszczerstw itd.

Chciałem uciec od bezczynności, od miejsca i widoku ludzkich cierpień, by znaleźć się wśród zdrowego otoczenia i żyć tym odmiennym życiem, w którym spodziewałem się znaleźć trochę pogody. Zawiodłem się. I tu widzę chorych, częstokroć podwójnie chorych!

Wciąż jeszcze wśród nas są tacy, którzy w swych utyskiwaniach i bredniach nie zachowują granic. Raz doznanej krzywdy i uraz nie potrafią zapomnieć i wybaczyć. Ale czymżeż są te nasze, urojone najczęściej, cierpienia wobec tego, co przechodzą nasi zarówno w Kraju, jak w Niemczech czy w Rosji? Co znaczy wczesnoranna pobudka wobec ich bezsennych nocy; chłodek pod kocami, apele, wykonywanie pracy, przymus spania o oznaczonej godzinie, rygory i nakazy wojskowe, nawet kara, jeśli się na nią nieroztropnie zasłużyło --- wobec zapewnionego spokoju i pewności życia?...

— — — — — — — — — —

Obóz nasz składa się z 3 baraków mieszkalnych, baraku świetlicowego i innego, mieszczącego warsztaty rękodzielnicze, oraz budynków administracyjnych. Izba chorych znajduje się dość daleko od obozu. Do wioski zaledwie parę minut drogi, do Burgdorfu --- kwadrans pieszo.

Moją początkową pracą było splatanie warkoczy 12-metrowej długości z 7 cienkich sznurków. Z tych warkoczy inni »spece« zszywają podeszwy. Inni znów splatają z rafii, z dodatkiem różnych barwnych skrawków, warkocze grubsze, z których inny rodzaj specjalistów wykonujn przyszwy i wykańcza mniej lub więcej udane pantofle. Niektórzy doszli już do takiej doskonałości w swoim nowym zawodzie, że z tego na pozór tak marnego materiału wyrabiają ozdobne słomiane obuwie i to nie tylko dla obozów oraz dla naszych, przebywających w sanatoriach i szpitalach, lecz nawet dla cywilnej klienteli. Pantofelki z warsztatu w Oberburgu mają coraz częściej chętnych nabywców. Niejedna też dama serca paraduje w słomianych »cichobiegach«. Kilkudziesięciu szeregowych różnych szarż, uzdrowieńców, mozoli się w ciepłym warsztacie nad wyrobem tego taniego obuwia. Dla tych ludzi musiano znaleźć jakiś rodzaj pracy, który pozwoliłby im zapomnieć o przeżytych cierpieniach i dać jakieś źródło dochodu poza zwykłym żołdem. Nie chodzi tu bynajmniej o rentowność.

Zdrowsi pracują prywatnie, lecz w większości dojeżdżają codziennie do głównego magazynu w Burgdorfie, aby zaopatrywać w potrzebne części umundurowania nasze obozy, rozrzucone niemal po wszystkich kantonach. Zresztą mundurują oni wszystkich, kto tylko poddaje się przepisom internowania na ziemi szwajcarskiej.

Warsztat krawiecki obozu w Oberburgu szyje i naprawia sienniki dla nowoprzybywających, naprawia **ubrania** robocze, szyje opaski i wy-

rzy — o la, la, la! — i już sam nawet mówi, że go też „brać", ale jest zadowolony, bo świeży transport aspiryny przyszedł i twierdzi, że teraz można „zdrowo" chorować.

Jest tu taki koleżka, który bardzo obawiał się grypy i nosił w kieszeni butelczynę, a gdy go „chytało" — pociągał z niej, widać jednak, że go za bardzo często „chytało", bo się pod wieczór już, bidula, ruszać nie mógł. A sanitariusze (teraz połowa kompanii choruje, a połowa to — sanitariusze) z zadowoleniem raportują rano doktorowi: „I znów chyciło dwóch".

Grypa szaleje w obozie! O la la ola la!

W. D.

Herisau

Zawody narciarskie. 18/II odbyły się trzecie z kolei doroczne zawody narciarskie o mistrzostwo obozu uniwersyteckiego „Herisau" na uświęconym tradycją wzgórzu o dźwięcznej nazwie „Orion". Zgłosiło się 31 zawodników; dwóch z nich odpadło w „przedbiegach" (zwichnięcia nóg na skutek usilnego treningu), jeden zaś padł ofiarą złudzenia wzrokowego, nie zauważył bowiem płotu, który dziwnym zbiegiem okoliczności znajdował się obok trasy biegu. Tak więc pozostało 28 straceńców, którzy z uporem godnym najlepszej sprawy wytrwali — mimo licznych upadków — do końca zawodów.

Zawody obejmowały dwie konkurencje: bieg zjazdowy (2 biegi) i slalom (3 biegi). Teren był dosyć łatwy, zjazd nieco za krótki, warunki śniegowe dobre. Pomimo kilkustopniowego mrozu i silnego wiatru zawody zgromadziły sporo widzów.

Liczna komisja sędziowska, nadrabiając krzykiem niedociągnięcia natury technicznej i przestępując z zimna z nogi na nogę, robiła wszystko co mogła, by urzędowaniem swoim nie utrudniać przebiegu zawodów, za co należy się jej niezaprzeczalne uznanie.

Rozpiętość „jakości narciarskiej" zawodników była tak duża, jak wielka jest różnorakość umundurowania naszej dywizji. Część zawodników wykazała się naprawdę dobrym opanowaniem desek, piękną techniką, a nawet wyraźnym talentem narciarskim. Słabsi zawodnicy nadrabiali jak mogli „odwagą sportową", zdobywając w brawurowych „atakach" bramki slalomowe. Seniorowie przedkładali ostrożność nad młodzieńcze „weź go, zabij!" i dlatego zdecydowali się przeważnie na technikę płużenia.

Ostateczne wyniki zawodów brzmią jak następuje:

I. Bieg zjazdowy: 1) pdch. Chłapowski, 2) ppor. Biedroń, 3) pdch. Pajor.

II. Slalom: 1) por. Jakimowicz, 2) pdch. Chłapowski, 3) pdch. Spora.

III. Kombinacja alpejska: 1) pdch. Chłapowski, 2) ppor. Biedroń, 3) pdch. Pajor.

Liczne nagrody przypadły w udziale zwycięzcom i nie-zwycięzcom.

Zag.



konuje wszystko to, czemu nie może podołać warsztat krawiecki przy głównym magazynie w Burgdorfie.

Stan obozu waha się w granicach ponad stu ludzi i jest wciąż płynny: jedni przybywają ze szpitali i sanatoriów, drudzy, co zdrowsi, ustępują im miejsca, przenoszeni do oddziałów macierzystych lub do magazynów w Burgdorfie. Lekarz obozowy przydziela miejsca zakwaterowania w barakach, w zależności od przebytej choroby, i sporządza wnioski na wyjazd do obozów pracy. Ostatnio w jednym z baraków otwarto pododdział dla chorych na płuca, powracających po długotrwałej kuracji z sanatoriów, ci bowiem wymagają specjalnych warunków zakwaterowania.

Zdrowsi pracują po 8 godzin dziennie, słabsi tylko 6, a jeszcze inni zaledwie 4 godziny. Ci ostatni korzystają z codziennych przymusowych spacerów na wolnym powietrzu i leżakowania w przerwie obiadowej. Może z niej korzystać każdy, gdyż zarządzona jest w tym czasie cisza i spokój.

W skład obozu wchodzi nawet kilku nerwowo chorych i ci — rzecz zrozumiała -- czują niechęć do pracy...

Świetlica daje po pracy trochę rozrywki, zaś prowadzony we własnym zakresie sklepik żołnierski jest w stanie zaspokoić chłonne żołądki mieszkańców obozu. Dodać trzeba, że wyżywienie w obozie jest doskonałe; są nawet diety: jedna dla tzw. żołądkowców, druga dla diabetyków. Obóz poza tym posiada własne kąpielisko o 7 natryskach. Co tygodniowa kąpiel obowiązuje pod groźbą kary, są bowiem i tacy, co nie lubią wody, kontentując się zwilżeniem czubka nosa przy rannej toalecie. Kąpiel odbywa się barakami, według sporządzonych wykazów, grupkami po siedmiu. W ten sposób nikt od kąpieli wymigać się nie może.

Z obozowej pralni każdego tygodnia wychodzi czysta bielizna, a cerowaniem skarpet i naprawą bielizny zajmuje się miejscowe koło kobiet.

Jak na początku z niechęcią godzono się na zorganizowanie obozu w Oberburgu, tak obecnie stosunek ludności jest nie tylko poprawny, lecz w wielu wypadkach nawet serdeczny. Najlepiej doświadczyliśmy tego w okresie świąt Bożego Narodzenia.

Jednostajnie płynie codzienne życie... Wieczorem, po odśpiewaniu »Wszystkie nasze...«, po ściągnięciu flagi z masztu baraki rozbłyskują jasnymi oknami, zaś obóz nasz ma wygląd miasteczka, tulącego się do ciemniejącego zbocza wzgórza. O zmierzchu z baraków wysuwają się sylwetki internowanych: jedni zdążają do wolnego o tej porze warsztatu rękodzielniczego na naukę języka francuskiego, inni do kancelarii obozowej dla lepszego zapoznania się z arkanami mowy ojczystej w słowie i piśmie. Jest też grupa zwolenników muzyki: baraki co wieczór rozbrzmiewają dźwiękami harmonii, skrzypiec i mandoliny. Są też tacy, co uczą się pisania na maszynie. Porządek wyznacza lista imienna. Chętnych jest wielu. Maszyna wraca dopiero o godz. 22 ze świetlicy do kancelarii. Najwięcej jednak jest takich, którzy --- jak nieomal wszędzie --- wolą grać w karty i kłócić się do późna w noc przy grze, acz kolwiek czas ten możnaby spędzić z większym dla siebie pożytkiem.

Dzień pracy przeszedł, zmniejsza się dekada, do żołdu niedaleko. Jedni obliczają, ile dołożą do swych oszczędności, inni głowią się nad tym, komu dług wpierw oddać... Zarobek, acz skromny, pozwala wielu na pomoc dla swoich rodzin. Liczne są składki na dzieci polskie, na jeńców, na rodziny polskie we Francji. A choć największa stawka zarobkowa w warsztacie rękodzielniczym wynosi 1,25 frs. za 8-godzinny dzień pracy, to jednak każdy, nawet niepracujący, poczuwa się do groszowych ofiar.

Takim życiem żyją zdrowi i półzdrowi w obozie Oberburg.

Strzelec *A. K.*

NASZE GAWĘDY

COŚ DLA OKA

Że szare to nasze internowane życie, to szare.

Żadne to odkrycie --- powie każdy z nas. Ale wszyscy się pewno zgodzimy, że byłoby jeszcze gorzej, gdyby nam tak np. zakazano patrzeć swobodnie na otaczający nas świat, który — choć nie zawsze i nie wszędzie --- mimo wszystko bywa piękny. Trzeba tylko chcieć i umieć patrzeć, a każdy znajdzie coś dla siebie — coś dla swego oka. Być może nawet że YMCA zdoła przed końcem internowania wydać jeszcze po różnych „...znawstwach" także fachowo opracowany podręcznik patrzenia. Tu jednak w „naszych gawędach" tak dalece rozpędzać się nie myślimy, poprzestając na daniu paru przykładów z jednej tylko (choć może tej najciekawszej) dziedziny.

Czy to w Polsce, czy też nawet w Szwajcarii prawdziwym jest zdanie, że nie samą pracą człowiek żyje. Potrzebna jest i zabawa, a choćby jeno rozrywka. Może do tych życia przejawów przeciętny Szwajcar trochę mniej jest ochoczy od Polaka; nie znaczy to jednak, że nie jest on wesoły, tylko że raduje się na inną, nie tak skoczną nutę. Lecz kto wie --- może mieliby słuszność ci, co twierdzą, że tu drudno rozeznać stypę od wesela --- gdyby nie pewien malowniczy rys, wnoszący tyle barwy i wdzięku do szwajcarskich uroczystości. Są to Szwajcarki w swych pięknych strojach ludowych.

A jest tych strojów wielka liczba i rozmaitość. Na ich czele --- bez ujmy dla innych — wymienić by chyba należało ubiór berneński, tę odświętną, strojną jego odmianę, która w swym kroju, bogactwie i spokojnym barw doborze tak żywo przypomina strój naszych Ślązaczek. Tylko nakrycie głowy stylem dość odbiega od śląskiej chustki i czepca, i odmienną tworzy sylwetkę. Z innych tutejszych strojów regionalnych trudniej byłoby wysnuć polską analogię, bo np. nasze Łowiczanki należałoby chyba zestawić.... ze szwajcarskimi gwardzistami z Watykanu. Nie wdając się tedy w bliższe studium całej galerii uroczych „Meiteli", tak ładnie odmalowanych na akwarelach Riggenbacha, poprzestaniemy na wskazaniu tych jeno, które najbardziej pozostaną nam w pamięci — po prostu z racji rozmieszczenia naszych obozów. Będzie to więc równie wytworny, choć od berneńskiego barwniejszy ubiór z Lucerny; stroje z Appenzell i St. Gallen ze znamiennymi a tak malowniczymi nakryciami głowy; czerwienią powabny ubiór kobiet z Graubünden, --- oraz w czerni utrzymane i tylko barwnym haftem zdobione suknie i kaftany mieszkanek Valais.



...Jakiż to chłopiec piękny i młody, jakaż to obok dziewica?...

Bardzo nam się podobają te odświętne stroje, jakkolwiek na barwność i rozmaitość w tej dziedzinie i w Polsce nie możemy się uskarżać. Co jednak na szczególne tutaj zasługuje uznanie i co warto będzie propagować także u nas, to piękny i ujmujący zwyczaj przywdziewania stroju ludowego niezależnie od warstwy społecznej. Czy to będzie wiejska gaździna czy córa patrycjuszowskiego rodu z miasta, w dzień uroczysty i jedna i druga występuje w podobnym tradycyjnym stroju, godność narodowego mu nadając.

— — — — — — — — — — — — — — —

Nie wolno nam tego, nie wolno owego, gdyż bieg wojny postawił nas prawie poza nawias życia. Ale życie biegnie według swoich praw, które nie zawsze dadzą się wtłoczyć w ciasne i sztywne ramy przepisów, choćby najlepiej pomyślanych. Nic więc dziwnego, że i na tym polu poszło ono swoim torem i że dla rozwiązania wielu przejawów naszego tutaj internowania przyszły historyk niejeden raz zastosować będzie musiał starą ale praktyczną formułę: »cherchez la femme«. Trudno, przecież człek nie jest z drzewa, a chociażby się nawet starał lojalnie przymykać oczy na powaby doczesne, należałoby go chyba odosobnić na bezludnej wyspie, aby mógł należycie sprostać literze wszystkich paragrafów. Ale chociaż życzymy Szwajcarii jak najlepiej, ze swej strony bardzośmy radzi, że wysp takich dotąd nie posiada... Na przyszłość --- owszem!

Jeśli jednak owe pomarańczowe przykazania nie są należycie respektowane (jest to, niestety, dola wszelkich przykazań), trochę w tym winy samych władz. Bo np. dlaczego nie zniesiono obsługi żeńskiej we wszystkich gospodach, leżących w zasięgu polskich internowanych? Wiemy, że niełatwa to sprawa, więc należało przynajmniej narzucić dla wszystkich »Serviertöchter« przymusowy cenzus wieku, nie niższy od 4 krzyżyków. Może by nawet bezpieczniej było podwyższyć go do pięciu?... Cokolwiek by zaś na tym utracić miał przemysł, stokrotnie wynagrodzi zysk na cnocie. Czyż tedy gra nie warta świeczki?..

Zjawiskiem jeszcze groźniejszym dla naszej internowanej neutralności jest niebywały rozkwit szwajcarskiej welocypedyzacji. Wynalazca tego środka ruchu na pewno nie pomyślał o zgubnych skutkach, jakie kiedyś zaciężą na jego dziele. A jak się rzecz cała ma --- opowiem.

Wyobraźmy sobie pogodne niedzielne popołudnie w którejkolwiek cieplejszej porze roku. Zgodnie z trzecim przykazaniem — tym z góry Synaj — chciałby człowiek dzień święty święcić, udając się np. na przechadzkę. Idzie więc sobie taki przymusowy letnik znad Wisły, pogrążony głęboko w myślach (nie koniecznie zresztą głębokich) i wychodzi wkrótce poza obręb obozu. »Za miasto, pod słup na wzgórek« — powiedziałby poeta. Zresztą na internowaniu niejeden stał się poetą, co w dalszym ciągu opowieści okaże się ważną okolicznością łagodzącą.

Pójdźmy więc w trop za tym internowanym przechodniem, który bezwątpienia pragnąłby skupić się nad jakimś budującym szczegółem bogatego życia obozowego, nad znikomością ostatniej wypłaty albo nad najnowszą, gwarantowaną przepowiednią o końcu wojny. A tu jak jaskółki śmigają mu przed oczyma na wpół ziemskie, na wpół niebiańskie po-

stacie w powabnych szatach, których powiewność i barwność jest w odwrotnym stosunku do ich wagi i długości. »Apage satanas!...« Co się człek zamyśli na okamgnienie — szast! — nowe niby uskrzydlone, a niby zmotoryzowane zjawisko, czasami nawet w istnych rojach występujące. Tego nie wytrzyma nawet najbardziej rasowy śledziennik ani potencjalny kandydat na samobójcę! Przecież to jest wymyślna tortura, na jaką nie wpadła nawet bujna i wszechstronna wyobraźnia G. Flaubert'a w jego »Kuszeniu św. Antoniego«... Ponieważ zaś przeciętnemu internowanemu znacznie bliżej do upadłego anioła niż do świętobliwego pustelnika, skutki nie dają na siebie długo czekać.

Piosenka to stara jak świat. Uśmiech za uśmiech --- od słóweczka do słóweczka --- no i wkrótce spotkanie pod umówionym jaworem czy też nad ulubionym jeziorem. „Jakiż to chłopiec piękny i młody, jakaż to obok dziewica...?" Takie oto pytanie zadawał sobie przed stu laty Adam Mickiewicz. Dzisiaj czasy mocno się zmieniły. Przede wszystkim „chłopiec" niekoniecznie pierwszą zielenieje młodością --- choćby tylko dlatego, że lata wojny podwójnie się liczą. Poza tym sprawami z tej dziedziny martwi się specjalna wyborowa formacja o wyłogach pomarańczowych, która nie poprzestaje na poetyczno-retorycznych pytaniach, lecz z zapałem godnym lepszej sprawy idzie po nitce do kłębka. Wskutek tego nieraz okazuje się, że on „jest strzelcem (pieszym) w pobliskim... obozie", --- a kto dziewczyna, o tym mówi urzędowy protokół, niekiedy pełen barwnych szczegółów, z „Dekameronem" o lepsze idących... Co zaś do epilogu --- koniec bywa żałosny, czasem dla obojga, a zawsze dla niego.

— — — — — — — — — — — — — — —

Rozmyślnie daliśmy dwa przykłady z omawianego zakresu. Jeden pozytywny --- jak i na co patrzeć można; drugi negatywny --- jak i na co patrzeć nie należy.

Do wyboru, ale na własne ryzyko...

Jan Skalny (Baden)

PRAWA TEJ WOJNY

(Dokończenie ze str. 5)

liczyć się raczej należy z tym przerzucaniem odwodów. Ostatnią wreszcie trudnością będzie ruch partyzancki, który gotów jest wszcząć najzaciętszą walkę z chwilą otrzymania znaku, że natarcie na „twierdzę europejską" rozpoczęło się. Jedną, wydaje się, posiadają Niemcy przewagę nad Sprzymierzonymi, a mianowicie: linie wewnętrze dla wszelkiej komunikacji w obrębie koła, które tworzy granice fortecy. Podczas gdy Sprzymierzeni do każdego swego nowego przyczółka dowozić będą musieli wojska i sprzęt wojenny z zewnątrz, Niemcy rozporządzają wewnątrz samej twierdzy korzystniejszymi, chociaż --- jak wskazaliśmy --- także ogromnie długimi liniami. Dlatego też Sprzymierzeni bombardują bez przerwy węzły komunikacyjne wewnątrz tej „twierdzy".

Oczywiście, że daleko idące zjednoczenie wszystkich wysiłków w Niemczech oraz zmobilizowanie ich dla wojny jest tak potężne i bezwzględne, iż liczyć się z wewnętrznym załamaniem się Reichu byłoby łatwowiernością dopóki nie jest złamana jego siła zbrojna.

Jednakże spadające nań zewsząd uderzenia nie tylko nie słabną, lecz stają się coraz potężniejsze, stwarzając w ten sposób dogodne warunki dla wymierzenia ciosu ostatecznego. *(owa)*

Sprawy polskie (dokończenie ze str. 2)

bolszewickich« usiłują skłonić Polaków do ewakuowania się na zachód. Jednakże rząd polski wezwał Polaków, aby pozostali w miejscu zamieszkania. Niestety, mówił prof. Kot, żadne w ogóle wiadomości nie przenikają z obszarów zajętych przez Czerwoną Armię. Ziemie odebrane Niemcom są szczelnie odgrodzone, nawet korespondenci wojenni nie znajdują do nich dostępu, żadne słowo pisane nie może się stamtąd przedostać.

Pieklo na ziemiach polskich. Inne doniesienia wskazują, że Niemcy siłą ewakuują ludność z obszarów zafrontowych. W Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu wszystkie drogi przepełnione są tysiącami ludzi pędzonych pieszo na zachód. Kto może, kryje się w lasach, by uniknąć zsyłki. Wzdłuż linii kolejowych rozgrywają się walki z partyzantami. Ostatnio oddziały polskie wykoleiły pociągi koło Przeworska, Dębicy, Tarnowa i w Strudze. Jak podaje „Tribune de Geneve", rząd polski otrzymał wiadomość, że Niemcy rozstrzelali 10.000 Polaków, Włochów, Rosjan i Żydów w obozie koncentracyjnym pod Lwowem.

Budowa umocnien i ewakuacja fabryk. W Warszawie budowane są umocnienia forteczne i schrony przeciwlotnicze. Wierci się też studnie artezyjskie. Również w innych miastach oraz wzdłuż Wisły zapędzono tysiące mężczyzn do budowy fortyfikacji. W Lubelskim ewakuuje się do Niemiec fabryki i robotników. W Białostockim skonfiskowano organy kościelne.

OD REDAKCJI

XY — Oberburg: W artykule „Czego chce Kraj" znajdzie Pan zdanie, stwierdzające, iż Kraj wysuwa, jeśli chodzi o przyszłość, postulat ustroju republikańskiego. I że nie tylko „walczy i krwawi, ale również daje naszej sprawie pracę myśli: czujnie śledzi rozwój wydarzeń, rozważa je i zajmuje względem nich postawę; z doświadczeń i bogatej nauki życia snuje wnioski i przygotowuje na przyszłość zamysły i plany". Dowie się Pan o tym wszystkim więcej z artykułu, który wymienia, a którego — jak widać — nie uważał Pan za stosowne uważnie przeczytać.

Co do ostatniego przemówienia Churchilla, to daliśmy je w ostatniej chwili już po zamknięciu numeru, zaczerpnąwszy tekst z prasy szwajcarskiej. Ustępów, o których Pan pisze, w brzmieniu mowy podanym przez tę prasę, nie było.

Ponieważ ukrył się Pan za pseudonimem (?!), przeto radzimy mu przeczytać, co na ten temat piszemy w rubryce „Czytelnicy piszą" w nr 8/84 „Gońca".

B. F.—Flüeli: Wypisał Pan kilka niemieckich nazw z mapki Polski, którą zamieściliśmy w nr 4/84 „Gońca" w artykule pt. „Gdzie sedno rzeczy", i — dodając: „Bez dalszych komentarzy" — odesłał wraz z tą wyciętą mapką do nas. Rozumiemy o co chodzi, bo i nas bolą takie nazwy, jak „Weichsel" zamiast — Wisła, „Posen" — zamiast Poznań itp. Ale w tym wypadku chodzi o mapkę, której kliszę wypożyczyliśmy z „Badener Tagblatt", tak samo jak artykuł przetłumaczony z tegoż pisma. Naszej ubogiej kasy nie stać było na zrobienie dużej własnej kliszy (koszta: około 60 franków) — dlatego daliśmy wypożyczoną z nazwami w obcym języku. A propos nadesłanego nam słownika geograficznego, czy zna Pan przysłowie „kulą w płot"?...

T. H. — Oberburg i O. Sten-Waltensburg: Nie zamieścimy — cenzura skreśliła.

Sierz. J. K. — Oeschgen: Dziękujemy serdecznie za ciekawe wycinki prasowe.

Cisnienie

— Michał, jak ty wyglądasz! Przecież na spodniach ani śladu zaprasowania.

— To z ciągłego siedzenia!

— Przecież nie siedzisz na kolanach!

— Ja nie, ale moja Heidi...

Kobiety

Gdy poprosisz damę o pocałunek, a ona odpowie: „może“, to myśli przy tym „tak“. Gdy mówi „nie“, znaczy to „może“, a gdy powie „tak“ — to nie jest żadna dama.

Realista

— Gdy tylko pani się uśmiechnie, panno Gritli, chciałbym powiedzieć: proszę przyjść do mnie!

— Niech się pan wstydzi! Uwodziciel!

— Nie, tylko dentysta...

Podzial dóbr

Miłość mu dała, wiarę
mu dała —
Więc przy nadziei sama
została...

L. Puget

Na wykladzie lacznosci

— Uwaga, chłopcy — mówi wykładowca — wchodzę do sali, przekręcam kontakt, ale światło się nie zapala. Próbuję drugi raz, trzeci — nic z tego. Co należy zrobić?

— Zapłacić rachunek za elektrykę — odpowiada strzelec Rzepa.

Przebiegly zlodziej

Pewien stolarz żalił się, że co noc ubywa mu połowa oliwy z butli stojącej w warsztacie pod ławką. Poradzono mu, by się zaczaił raz w kącie i wyśledził, kto kradnie oliwę.

Stolarz usłuchał dobrej rady i nazajutrz opowiada:

— O północy wynurzył się w warsztacie szczur. Usiadł na ławce, zanurzył ogon w butli, wyciągnął go



i oblizał. Potem opuścił go znowu i znowu oblizał. Poszedł sobie dopiero po wychlaniu pół litra oliwy.

— Czemuż go pan nie zabił? — wykrzyknął jeden ze słuchaczy.

Wszyscy spojrzeli na ograniczonego gościa z niesmakiem, a stolarz wyjaśnił:

— Tak rozumnego szczura nie godzi się zabijać. Dzisiaj napełniłem butelkę znowu i zakorkowałem ją dobrze. Chyba pomoże...

Słuchacze pokiwali głowami, a któryś rzekł:

— Mam nadzieję, że nie zostawił pan korkociągu na stole...

Graf

Trzeba było mi takiego tRAFu,
Że dostałem się do RAFu.
Rzekłem: powystrzelam, gdy natRAFię,
Wszystkich wrogów i zasłynę w całym RAFie.
I strzeliłem. Ale bąka. To potRAFię.
Dziś góruję ja nad RAFem
I tym tRAFem zwą mię w RAFie... gRAFem.

Karmin (Ilarsaz)

Uwaga na pranie!

22 letnia Deasy, pracująca w wielkiej pralni, wsunęła raz do paczki bielizny jakiegoś angielskiego żołnierza kartkę: „Jeśli samotny żołnierz chce poznać samotną dziewczynę, to w sobotę o 18, na rogu pod pocztą“.

Właściciel paczki, William, stawił się punktualnie. Ponieważ miał lat 24, był brunetem i kawalerem, sprawa poszła gładko. Po pół roku byli już małżeństwem.

William zmienia obecnie często miejsce postoju, ale przysiągł żonie, że nie będzie nigdy w wojsku oddawał bielizny do prania. „Te dziewczęta — mówi pani Deasy — są takie przedsiębiorcze, jeszcze byś poznał którą dzięki swym brudnym koszulom“.

Wierny William pierze więc sobie teraz sam bieliznę w potoku.

Zawsze skrzywdzeni

Mr. Bertram, bogaty Australijczyk, przegrał proces rozwodowy. Żona jego, Julietta, zastała go w wannie (bez kostiumu kąpielowego), a w pobliżu kręciła się jego 23 letnia sekretarka.

Mr. Bertram: Dyktowałem jej pilne listy. Zresztą sama byłaś tancerką i występywałaś całkiem nago na scenie.

Oburzona Julietta: Ach, to co innego, to było dla sztuki!

Rozgniewany mąż: No, a to dla interesów!

Nic nie pomogło. Mr. Bertram został skazany na płacenie żonie alimentów.

Gdzie tu sprawiedliwość? gdy kobieta się rozbiera, to jej za to płacą, gdy mężczyzna raz się rozbierze, to musi za to płacić do końca życia.

Dziwo

— Zdumiewające, że niektóre kobiety mają aż trzy stopy!

— Nie gadaj głupstw!

— Ateż tak! Moja żona ma dwie małe stopy na których chodzi — i jedną dużą, na której chce żyć.

Na wariatów

Wariat wsiadł do tramwaju o godz. 10. Jadąc koło kościoła zauważył, że na zegarze jest godz. 9.55; ujechawszy kilka przystanków spostrzegł na jednej z wystaw sklepowych zegar wskazujący 9.50. Wariat zaniepokoił się bardzo, wysiadł i mruczy:

— Psia kość! Jadę w przeciwnym kierunku!

* * *

„Nerwowo chory“ siedzi nad miednicą pełną wody i trzymając w ręku laskę naśladuje ruchy wędkarza.

— Cóż to, łowisz ryby? — pyta dobrotliwie lekarz.

— Albom to ja wariat, aby w miednicy ryby łowić! — odparł chory z oburzeniem.

Te—ka (Alpnach-Dorf)

Zgniewani mnisi

Gdy zaczęły się naloty niemieckie na Anglię, Kartuzi w klasztorze w Cowfold, skoro tylko zabrzmiały syreny, zbiegali do kaplicy na modły.

Bomba rymnęła w kaplicę, raniąc kilku pobożnych.

Wobec tego mnisi wykopali obszerny schron i gromadzili się w nim podczas nalotów.

Bomba padła prosto na schron, zabijając paru ostrożnych.

Rozgoryczeni Kartuzi uzyskali zwolnienie ze ślubów zakonnych i poszli do RAF'u. Dwóch z nich lata nad Niemcy i rzuca bomby.

ADRESY: Redakcja: Rédaction du Journal des Internés polonais, Baden (Aargau).
Ekspedycja: Expedition du Journal des Internés polonais, Baden (Aargau), nr telef. 2.15.71.
Wpłaty dla „Gonca Obozowego“ (na blank. ziel.) Postcheck-Konto: Presseoffizier für Int. Zeitung — III, 13212, Bern.

Cena „Gonca Obozowego“:
dla oficerow i aspirantow Fr. 0.30
dla podoficerow i szeregowcow Fr. 0.20
dla osob cywilnych (kwartalnie) Fr. 1.80

L'Officier responsable du Journal des Internés polonais
Major CORREVON
Commissariat Fédéral à l'Internement
Poste de campagne 17